Kurier literacko naukowy

ROK IV. WYCHODZI W NIEDZIELĘ JAKO BEZPŁATNY DODATEK NR. 19

Frankiści i „mord rytualny"

Kwestja „mordu rytualnego" rozognila umysły w Polsce szczególnie w ośmnastym wieku. Złożyły się na to rozmaite przyczyny.

Oto w roku 1710 rabin z Brześcia Litewskiego, Serafinowicz, przyjął publicznie w Żółkwi chrzest św., złożywszy poprzednio obszerne i wyczerpujące wyznanie publiczne, iż sam dwukrotnie popełnił na Litwie mord rytualny. Następnie, — jak opowiada uczony Bernardyn, profesor teologji i mąż „w języku hebrajskim doskonale ćwiczony", ks. Gaudenty Pikulski[1]), — tenże Serafinowicz

„opisał wszystkie złości i bluźnierstwa, które Żydzi czynią przez cały rok według porządku Świąt swoich, z takim dowodem, że i rozdział talmudu i słowa hebrejskie wspomina. Wydane już były te sekreta talmudystów od tegoż samego Serafinowicza do druku, ale ich Żydzi wykupiwszy, spalili. Jam tylko manuskryptu jego dostał od tych którzy go znali i z nim mówili i opuszczając hebrajskie słowa tylko po polsku wyrażę co w sobie zamykają".

Opierając się tedy na zeznaniach Serafinowicza i na cytatach z ksiąg talmudycznych *„Zychwe Lew"* i *„Sanhedron"*, podaje ks. Pikulski w dziele swem m. inn. „opisanie bezbożnej ceremonji na rzeź chrześcijańskich dzieci naznaczone". Wyjaśnia też, zawsze za Serafinowiczem, „na co i dlaczego krwi chrześcijańskiej Żydzi potrzebują".

Dzieło to, rzecz jasna, narobiło dużo rumoru, — a to zarówno ze względu na swą treść, jak i na osoby autorów, tj. Serafinowicza i ks. Pikulskiego.

Jak wspomnieliśmy, ks. Pikulski był profesorem teologji, uczonym wybitnym i cieszącym się dużem poważaniem, — a dzieło jego otrzymało aprobatę władz duchownych.

Nawrócony zaś były rabin, Serafinowicz, musiał być również jednostką dość wybitną, skoro przy chrzcie jego funkcje rodziców chrzestnych pełnili królewicz Konstanty Sobieski i wojewodzina bełzka, Elżbieta Sieniawska.

* * *

Zaszedł jednak i inny, niezwykły wypadek, który żywo poruszył opinję publiczną.

W roku 1753 władze sądowe w Żytomierzu na Wołyniu uwięziły 25 Żydów pod zarzutem, że

„w sam Wielki Piątek, złapawszy dziecię półczwarta roku mające imieniem Stefana Studzieńskiego, syna Adama i Ewy Studzieńskich, w Wielką Sobotę, po sabacie zgromadzeni, okrutnie zamordowali, z każdej żyły i junktury krew wypuszczając przez kłócie. Po uczynionej pilnie inkwizycji zbrodnię prawnie dowiedziono i wydano wyrok, na podstawie którego z jedenastu żydów żywcem pasy darto, a potem ćwiertowano, trzynastu chrzest św. przyjąwszy, ścięci byli, jeden zaś mniej winny dla świadectwa innym talmudystom przy życiu zachowany został, chrzest św. przyjąwszy".

Ryciny i obrazy przedstawiające zamordowanego chłopca w całej postaci, z licznemi ranami, na ciele, rozrzucono po całej Polsce i do dziś nierzadko można je jeszcze spotkać po kościołach i w różnych zbiorach[2]).

* * *

W tych warunkach szczególniejszego znaczenia nabierało publiczne wystąpienie sekty Frankistów, którzy zaatakowali gwałtownie religję żydowską, w szczególności talmud.

Przywódca i założyciel tej sekty, Jakób Frank, syn rabina z Czerniowiec przebywał za młodu przez czas dłuższy na wschodzie, gdzie zaznajomił się gruntownie z nauką Sabbatejczyków, z Pismem św. i z kabalistyczną księgą „Zoar", napisaną w XIV wieku. Po przybyciu do Polski w roku 1755 skupił koło siebie liczne grono zwolenników i począł propagować nową naukę, w której wyrzekał się zupełnie talmudu, jako „pełnego błędów i bluźnierstw", uznawał wiarę w Trójcę Świętą i w Chrystusa jako Mesjasza.

Nic dziwnego, że Frankiści ściągnęli na siebie gromy potępienia ze strony „prawowiernych" żydów, i że na głowy ich sypały się uroczyste klątwy rabinów.

W tych warunkach Frankiści zdecydowali się na śmiałe a niezwykłe posunięcie. Postanowili mianowicie przeprowadzić ze swymi przeciwnikami publiczną dysputę, w której podejmowali się obronić swoje tezy, a wykazać wszystkie błędy talmudu.

Wystosowali tedy odpowiednie pisma do króla Augusta III i do arcybiskupa lwowskiego, Łubieńskiego, prosząc o zezwolenie im na taką dysputę, po której zobowiązują się przyjąć chrzest święty.

August III na prośbę Frankistów nie odpowiedział. Arcybiskup wkrótce potem opuścił Lwów, — a załatwienie tej prośby poruczył ks. Stefanowi Mikulskiemu, administratorowi archidjecezji lwowskiej.

Ten ostatni, ulegając „uprzykrzonym naleganiom" Frankistów, zezwolił ostatecznie na dysputę, z tem, że Frankiści mają swe zarzuty formułować na piśmie w polskim i hebrajskim języku, a strona przeciwna ma odpowiadać na nie na następnem posiedzeniu. Obie strony winny wywody swe składać na ręce kanonika wyznaczonego przez konsystorz.

Dysputa obliczona była na czas dłuższy, gdyż Frankiści wysunęli aż siedm punktów. Dla nas w tej chwili najbardziej interesującym jest punkt siódmy, który opiewał:

„Talmud naucza, że potrzebna jest krew chrześcijańska, a kto wierzy w talmud, musi jej potrzebować".

* * *

Rozpoczęła się ta jedyna w swoim rodzaju, publiczna dysputa dnia 17 lipca 1759 roku o godzinie 2 popołudniu. A wywołała tem większe zainteresowanie, że na miejsce dysputy wybrano kościół archikatedralny we Lwowie. Katedrę zapełnili prałaci, kanonicy, uczeni teologowie, „znaczniejsi goście i dystyngowańsze damy". Na wzniesieniu zajął miejsce ks. Mikulski ubrany we fiolety. W ławkach po prawej stronie nawy zasiedli Frankiści — wśród nich, były rabin z Nadwórny, Jehuda ben Nosen Krysa, — z lewej 40 rabinów, z Chaimem Kohenem Rapaportem, rabinem lwowskim, na czele

Dookoła rzesza mieszczaństwa lwowskiego, katolików i Żydów.

Dysputa toczyła się przez czas długi. Obie strony przytaczały swe argumenty, naszpikowane cytatami z pism, — co wśród słuchaczy nie budziło jednak większego zainteresowania. Na dziesięciu posiedzeniach załatwiono się z pierwszemi sześcioma punktami. Pozostał punkt siódmy, najważniejszy, o „mordzie rytualnym".

Na prośbę rabinów dysputę nad tym punktem odraczano parokrotnie, aż wreszcie wyznaczono na nią termin na poniedziałek, 10 września.

* * *

Tego dnia Frankiści przybyli do katedry wyjątkowo licznie. Było ich kilkuset, ze samym Frankiem na czele. Katedra przepełniona była ciekawymi słuchaczami.

Po zagajeniu obrad przez ks. Mikulskiego zabrał głos imieniem Frankistów ich tłumacz, Moliwda - Kossakowski, przemawiając najpierw po polsku:

„Żądanie krwi chrześcijańskiej od pospólstwa talmudystów nie tylko w Królestwie Polskiem, ale i w cudzych krajach jest jawne, — wiele bowiem historyj minąwszy w cudzych państwach, tu się w Polsce i Litwie zdarzyło, że talmudystowie niewinną krew chrześcijańską okrutnie wylali i za ten bezbożny uczynek przekonani, w różne czasy dekretami na śmierć osądzeni, — zawsze jednak statecznie zapierając się, chcieli się przed światem oczyścić, że to na nich niewinnie chrześcianie wkładają, powiadają.

My jednak Boga wszystko widzącego wziąwszy na świadectwo, nie ze złości, albo zemsty na onych, ale z miłości Wiary świętej, którą przyjmujemy, tę złość onych talmudystów wydajem światu całemu do wiadomości, bośmy się i sami w młodości naszej u onych tego uczyli".

Następnie począł Moliwda - Kossakowski przytaczać z talmudu dowody na poparcie swych twierdzeń. W szczególności powoływał się na księgę talmudu zwaną *„Aurech Chaim Megine Erec"* (fol. 242 rozdział 412), gdzie jest mowa o „winie czerwonem, pamiątce krwi". Twierdził, że zawarte w księdze tej słowa *„jain udym"* (wino czerwone) mogą być kabalistycznie czytane jako *„jain edym"*, co oznacza „krew chrześcijanina". Oba te słowa różnią się w pisowni tylko kropkami czyli akcentami u spodu pierwszej litery, zwanemi „sygiel" i „kumec". Gdy zaś w tekście słowa te podane są bez żadnego akcentu, zatem można je czytać i interpretować dowolnie, — inaczej dla pospólstwa, inaczej dla rabinów.

Powoływał się dalej na księgę *„Rambam"* (będącą dziełem rabina Mozesa ben Maimon), w której dziesięć liter na str. 40 ma mieć kabalistyczne znaczenie:

Krwi potrzebują wszyscy w ten sposób, jak robili nad tym człowiekiem mądrzy w Jeruzalem.

Pozatem przytaczali Frankiści cały szereg rozmaitych urywków z talmudu, — są to jednak rzeczy zbyt fachowe, by się nad niemi obszerniej rozwodzić.

W zakończeniu żądali, by Żydzi przedłożyli Urzędowi konsystorskiemu cytowane księgi talmudyczne w oryginale.

Oskarżenie to, rzucone publicznie, w tak niezwykłem miejscu i z tak niezwykłej strony, wywarło olbrzymie wrażenie na zebranych. Toteż z napięciem oczekiwano następnej dysputy, na której rabini mieli odpowiedzieć na postawione im zarzuty.

* * *

Dysputa ta odbyła się 13 września, przy przepełnionej świątyni. Rabin lwowski, Chaim Kohen Rapaport, zbi-

**)Złość żydowska przeciwko Bogu i bliźniemu, prawdzie i sumieniu na objaśnienie Talmudystów... z istną relacją dysputy Kontratalmudystów z Talmudystami i przydatkiem innych osobliwości podana. We Lwowie, w drukarni Szlichtyna 1769.

*) Dr. Aleksander Czołowski: „Mord rytualny", Lwów 1899.

jał kolejno zarzuty Frankistów, jako bezpodstawne i dyktowane chęcią zemsty. Powoływał się na świadectwa Pisma św., częściowo zaś wręcz zaprzeczał niektórym zarzutom, wyjaśniał, że słowo „edym“ oznacza nie chrześcijanina, lecz Egipcjanina, a „wino czerwone“ ma być „pamiątką krwi“ którą Faraon wytaczał z dzieci izraelickich.

Obrona Rapaporta nie zrobiła dobrego wrażenia, Ogólnie uznawano, że nie zawierała ona „dobrego sensu, ani należytej odpowiedzi“, — toteż z napreżeniem oczekiwano wyroku władzy duchownej.

Po zakończeniu dysputy powstał ks. Mikulski i ogłosił zebranym, że co do pierwszych sześciu punktów uznaje się talmudystów za pokonanych przez Frankistów.

Natomiast co do punktu ostatniego „o krwi chrześcijańskiej“, Sąd konsystorski, za poradą nuncjusza, ks. Serra zastrzegł sobie wydanie decyzji na później. Była to decyzja słuszna i bardzo wskazana, ze względu na silne roznamiętnienie ludności. Wyrok, przyznający słuszność Frankistom, mógł pociągnąć dla ludności żydowskiej nieobliczalne konsekwencje.

Mimo zapowiedzi jednak, Sąd konsystorski w sprawie „mordu rytualnego“ wogóle się nie wypowiedział. Sprawę tę poruszył wkrótce potem wspomniany już powyżej ks. Pikulski, — a dzieło jego pozostało cennem źródłem do historji Frankistów polskich i ich dysputy z rabinami w katedrze lwowskiej. *(kr.)*

—•—

Czerwoni oligarchowie Kremlu

Współpracownicy Stalina

Pomimo istniejącej przeciw Stalinowi opozycji, spisków i sprzysiężeń, Stalin po dzień dzisiejszy silnie dzierży rządy partji, komunistycznej i Sowietów. Większość członków partji wiernie i bezkrytycznie oddana jest Stalinowi. Ci ludzie, nieraz ciemni, pozbawieni własnego sądu, gruboskórni, ci są podporami systemu Stalina. Stosunki, jakie panują w partji odnośnie do karności, przypominają bardzo subordynację Prusaków i żelazną karność z czasów Wilhelma II.

Poniżej podaję charakterystyki kilku najważniejszych współpracowników Stalina.

Na pierwszy plan wysuwa się drugi sekretarz partji 44-letni Mołotow. Jest to człowiek zimny, zawzięty, który jednak poza czysto komunistycznemi cnotami posiada wiele zalet przeciętnego burżuja.

Kocha swe dzieci i żonę, lubi czystość, zwraca bardzo uwagę na formy, bywa nawet sentymentalny, zachwycając się i rozczulając śpiewem swego kanarka. Jest zwolennikiem filozofji Tołstoja i według jego zasad urządził sobie życie. Jest wegetarjaninem — nie pije i nie pali; gdzieś w Ameryce otrzymałby napewno nagrodę od związków pań lub kwakrów.

Jego najwyższą cnotą, którą Stalin przedewszystkiem ceni, jest jego bezgraniczna pilność i pełna oddania sprawom państwa działalność, jako urzędnika. Głęboko przekonany o wartości swej pracy, spędza przy swoim biurku w razie potrzeby po 15 i 16 godzin dziennie.

Zawsze go zastać można na posterunku, piłuje swoich podwładnych, dając im odczuć swą potęgę — świeci dobrym przykładem — wygłasza budujące mowy o cnocie i kieruje polityką partji na olbrzymich obszarach 165 miljonowego sowieckiego państwa.

Wewnętrznie Mołotow nie wierzy, ani w rewolucję światową, ani w Stalina, ale to jest jego rzecz prywatna.

Jako naczelny urzędnik jest służbowo bezgranicznie oddany swojemu szefowi i chlebodawcy; Stalin ceni go za brak wszelkiej ideowości, która go czyni nieszkodliwym. Osobiście jednak stara się z nim poza służbą nie stykać i zbytnio mu nie ufa. W każdym razie Mołotow zasłużył się wobec Stalina przedewszystkiem tem, że pomógł mu opanować biuro polityczne. Mołotow teroryzuje szerokie koła partji, które go nienawidzą za nieznośną poprawność, pracowitość i dokładną znajomość stosunków partyjnych. Najmniejsze odchylenie w prawo, czy lewo jakiegoś członka partji, nie uchodzi jego uwagi. Ta nienawiść jest dla Stalina gwarancją wierności drugiego sekretarza. Gdy się istotnie zmienią warunki Mołotow bez wahania opuści Stalina i pójdzie w służbę potężniejszego następcy.

Polityczny dział Mołotowa obejmuje zagadnienia chłopskie, politykę zagraniczną i teorję ideowości partji. O ile chodzi o zagadnienia partyjne może on jednak tylko zbierać i porządkować materjał dostarczony mu przez Stalina. Z materjału tego sam Stalin ustala zasadnicze dyrektywy partji, nie troszcząc się zupełnie o prywatne poglądy Mołotowa. Nienawidzą go przedewszystkiem w Urzędzie Spraw Zagranicznych, na którego działalności ciężył jak zmora.

Towarzysz Kaganowicz — żyd wróg i współzawodnik Mołotowa, trzeci sekretarz partji, to charakter zasadniczo różny. Mołotow posiada wykształcenie uniwersyteckie, podczas kiedy Kaganowicz posiadał tylko wiadomości potrzebne przy wykonywaniu zawodu siodlarza. Pochodzi z Homla, małego miasteczka na polskiem pograniczu. Przed rewolucją był biednym małomiasteczkowym siodlarzem. Znalazłszy się w szeregach rewolucji — w jej początkach nie wybijał się na plan pierwszy, ani nie zajmował żadnych wybitniejszych stanowisk. Karjera jego rozpoczyna się dopiero z chwilą zetknięcia się ze Stalinem, który poznał się na zdolnościach rzemieślnika-rewolucjonisty i zrozumiał, jaki skarb dla niego przedstawia, jako narzędzie, ten niepozorny, ale bardzo zdolny człowiek.

Stalin zajął się Kaganowiczem, przeciwstawiając go przedewszystkiem Trockiemu, który w partji posiadał około roku 1924 olbrzymie wpływy. Pierwszem stanowiskiem, jakie mu powierzył Stalin, było kierownictwo personalne partji. Na stanowisku tem Kaganowicz potrafił zadowolić Stalina. Umiał przemawiać na zebraniach robotniczych, wyglądał jak prawdziwy proletarjusz i orjentował się błyskawicznie w rozmaitych zagadnieniach partyjnych, działając naturalnie zawsze w duchu Stalina. Z wdzięczności dopomógł mu ten ostatni do uzyskania generalnego sekretarjatu komunistycznej partji Ukrainy.

To jednak miało dla Kaganowicza zupełnie nieoczekiwane następstwa. Zajął się bardzo energicznie i sprytnie powierzonym mu terenem, chcąc w swych rękach skupić rzeczywiste kierownictwo ukraińskich spraw. Nie podobało się to warstwom robotniczym do tego stopnia, że kierownicy partji wprost oświadczyli Stalinowi: „nie chcemy absolutnie mieć żyda na stanowisku sekretarza“. Stalin począł grozić — na co Czurbaj i Petrowskij, naczelnicy komunistów ukraińskich, oświadczyli Stalinowi, że raczej przejdą wszyscy do opozycji, niżby mieli tolerować między sobą żyda. Stalin zrozumiał, czem to grozi — ustąpił odwołując Kaganowicza, którego jednak zamianował trzecim sekretarzem wszechrosyjskiej partji komunistycznej. Od tego czasu jest K. nietylko współpracownikiem, ale nawet osobistym przyjacielem Stalina, co jest tem dziwniejsze, że Stalin osobiście jest antysemitą. Resort K. — to sprawy organizacyjne państwa. Pomaga Stalinowi przedewszystkiem w kierowaniu aparatem partyjnym i jego usprawnianiu.

W życiu prywatnem jest K. podobnie jak Mołotow małomiasteczkowym burżujem. Pali wprawdzie bardzo dużo, ale zupełnie nie pije — zato w godzinach wolnych od pracy uprawia z żoną wszelkiego rodzaju sporty.

W przeciwieństwie do Mołotowa jest Kaganowicz, który ma dopiero lat 37, idealistą teoretykiem, który wierzy w Lenina i Stalina.

Od pewnego jednak czasu miały się stosunki między nim a Stalinem pogorszyć. Wtajemniczeni wnioskują z tego, że w czasach ostatnich Stalin powierza mu coraz to bardziej odpowiedzialne stanowiska, na których łatwo się skompromitować. U St. jest to zawsze oznaką zbliżającej się niełaski. Z chwilą, gdy jakiś współpracownik staje mu się zbędnym lub uciążliwym, powierza mu najwyższe stanowiska, co robi się z olbrzymią reklamą w prasie. Nietylko w prasie, ale i na zgromadzeniach głosi się, że nowy mąż stanu jest jedynym, który danemu zadaniu podoła. Ponieważ jednak powierzone mu zadania zazwyczaj są niewykonalne, następuje po kilku miesiącach okres krytyki — reklama w prasie ustaje — opatrznościowego do niedawna męża stanu, zaczyna się usuwać w tył twierdząc, że zawiódł położone w nim zaufanie. I mąż taki popada w niełaskę i pomimo, że jest przyjacielem Stalina musi ustąpić.

Mołotow i Kaganowicz są cywilnymi sekretarzami partji — przy ich pomocy kieruje Stalin polityką zagraniczną i wewnątrzną, — ustala wytyczne działalności dla całej partji.

Jedynym istotnym wewnętrznym niebezpieczeństwem dla obecnego ustroju sowieckiego mogłaby być armja, w której służy przecież bardzo wielka ilość synów chłopskich; na armję właśnie najbardziej liczą szerokie koła rosyjskich emigrantów. Ale kierownikiem armji jest znowu powiernik Stalina, dawny pasterz i robotnik kopalniany, obecnie generał, a od śmierci Frunzego minister wojny: Klemens Jefremowicz Woroszyłow. Jako siedmioletni chłopiec pracował już w kopalni zarabiając aż 7 kopiejek dziennie. Dopiero w dwunastym roku życia nauczył się czytać i pisać. Mając lat 18 wstąpił w szeregi rewolucjonistów. Organizował strajki i utarczki z policją. a w kołach robotniczych fabryki w Ługańsku miał wielkie poważanie. Na kongresie w Stokholmie poraz pierwszy zetknął się ze Stalinem i odtąd datuje się ich przyjaźń.

Woroszyłow to Stalin w pomniejszeniu. Młodość miał podobnie burzliwą jak Stalin. Podczas, gdy Stalin w Tyflisie rzucał bomby na banki i budynki rządowe, by zdobyć fundusze dla partji, przemycał równocześnie W. broń i naboje przez granice Finlandji, by ją potem rozdzielić między robotników w Petersburgu i umożliwić im czynną walkę z rządem. W siedzibie swojej w Ługańsku założył tajne laboratorjum, w którem sporządzano bomby. Aresztowany i zesłany na Syberję, potrafił stamtąd umknąć aż do Baku, gdzie go z otwartemi ramionami, przyjął Stalin. Razem z nim i Diaparidzem zasłużył się bardzo około zrewolucjonizowania robotników w zagłębiu naftowem w Baku; następnie przekradł się do Petersburga i podczas wojny pracował jako robotnik w fabryce amunicji artyleryjskiej. Z chwilą wybuchu rewolucji listopadowej został odrazu jednym z wybitnych krwawych sędziów czerezwyczajki i wysyłał dziesiątki tysięcy ludzi na śmierć bez dłuższych lub czasem żadnych dochodzeń sądowych — wystarczało, że ktoś był nie-rewolucjonistą.

W roku 1918 dopomógł wielki Stalin — „małemu“ do właściwej karjery wojskowej. Stalin z chwilą, gdy został członkiem rewolucyjnej rady wojennej, pozawiązywał razem z W. sławne, lotne partyzanckie oddziały wojskowe, złożone wprawdzie z wszelkiego rodzaju hołoty, dzikie i nieokiełzane, ale bijące się znakomicie. Na bitności tych oddziałów spoczywał wtedy cały ciężar wojny domowej. Początkowo został W. dowódcą pierwszej konnej armji — następnie dowódcą całego korpusu. Pod Carycynem organizował pod bezpośredniem dowództwem Stalina partyzantkę na wielką skalę, a że był przyjacielem Stalina, ściągnął na siebie nienawiść naczelnego wodza Trockiego. W krytycznych dniach opozycji żydowskiej trockistów (zesłani obecnie Zinowiew - Apfelbaum i Leiba Kamieniew), kiedy los Stalina dosłownie wisiał na włosku, W. razem z Frunzem uratował armję dla Stalina. Po nagłej śmierci Fr. mianowano go ministrem wojny.

Są ludzie, którzy chcieli i chcą widzieć w nim Napoleona Rosji. Ale W. nie jest ani genjuszem militarnym, ani wybitnym politykiem. Oddał się zupełnie sprawom armji; pomimo swej przeszłości rewolucyjnej jest dzisiaj skończonym militarystą. Wprowadził w armji bardzo surową dyscyplinę, wszelkie próby opozycji karze śmiercią. Potrafił mimo to tchnąć w szeregi czerwonej armji ducha kastowości, w czem podobno pomocnymi mu byli dawni oficerowie armji i gwardji carskiej. Woroszyłow nie dopuszcza do rozpolitykowania w armji, a z chwilą gdy nawet wybitny generał, członek rady wojennej, zacznie uprawiać opozycje lub popadnie w podejrzenie

staje natychmiast uwięziony i zesłany, jak to miało miejsce z Blücherem.

Najbliższym współpracownikiem W. jest dawny carski wachmistrz Budiennyj, komendant czerwonej konnicy, który choć rewolucjonista, napewno do dzisiaj dnia niewiele słyszał o Marksie i jego ideologji. Możliwe, że nawet nie wie kto to był Marks.

Dotychczas wyliczyłem najważniejszych współpracowników Stalina — należałoby wymienić jeszcze przyjaciół osobistych Stalina — Gruzinów jak on: Ordżonikidzego (kieruje ciężkim przemysłem wojennym) i Jenukidzego. Nazwiska mniej wpływowych ministrów — komisarzy są często, a raczej były do niedawna nieznane w Europie zachodniej. Tak było np. do niedawna z obecnym kierownikiem ministerjum spraw zagranicznych, następcą wytrawnego dyplomaty z czasów carskich Cziczerina — Litwinowem. Na temat jego kryminalnej przeszłości (dawne jego nazwisko Wałach, dzisiejszej jego dumy, sprytu i kłamstwa, krąży w Rosji wiele anegdot i dowcipów. Litwinow nienawidził Cziczerina, choć ten był jego bezpośrednim przełożonym i wszystkiego go nauczył. Ludzie typu Litwinowa w poważniejszym wieku, gdy minie zapał rewolucyjny, oddają się jakimś zawodom korzystniejszym i zyskowniejszym jak handel drzewem lub przemytnictwo. Litwinow uważa rewolucje za zyskowny zawód, a jako żyd nadaje się do krętactw politycznych. W młodości emigrował i odgrywał w kołach bolszewickich na zachodzie, podobną rolę, jak Stalin na Kaukazie. Litwinow handlował na wielką skalę starem żelazem, przemycał przez granicę rozmaite towary w porozumieniu z polskimi żydkami, przedewszystkiem Litwakami. Za rozmaite brzydkie sprawy siedział niejednokrotnie w więzieniu i pracował zawsze raczej dla celów osobistych, potrafił jednak tak rzecz przedstawić, jak gdyby był męczennikiem idei.

Jako minister spraw zagranicznych gardzi wszelkimi formami dyplomatycznemi, kłóci się z ambasadorami, jak mały handlarz, opowiadają, że nawet potrafił spoliczkować posła obcego państwa.

Dzisiaj choć wpływowy i potężny, ciągle się jednak boi szubienicy. Własnego zdania w kwestjach teoretycznych, nie posiada. Jego jedyną troską jest powodzenie przydzielonego mu resortu, tj. ministerstwa spraw zagranicznych. W tych sprawach nabrał wielkiej wprawy, nie źle się nawet orjentuje — potrafi zręcznie niejedną sprawę na terenie zagranicznym przeprowadzić.

Raz miał Litwinow żalić się przed Stalinem na wygórowane żądania komunistycznej międzynarodówki. Dyktator miał mu odpowiedzieć: „nie zapominajcie towarzyszu, że jesteście nietylko komisarzem dla spraw zagranicznych, ale także komunistą, sługą rewolucji światowej". Na to miał odpowiedzieć Litwinow: „gwizdam narazie na rewolucję światową i na komunizm" Siedzę w komisarjacie spraw zagranicznych i muszę bronić jego interesów. Przenieście mnie do oddziału rewolucji światowej „to wtedy będę gwizdał na komisarjat spraw zagranicznych". Na tem się skończyło. Stalin lubi dosadne wyrazy i wie, że Litwinow bez jego wiedzy nic nie przedsięweźmie. Uważa go za marjonetkę powolne narzędzie.

Do najbliższego otoczenia Stalina, do długoletnich mieszkańców Kremlu należą także naczelnicy opozycji. Piastują wysokie urzędy — gdy zanadto oponują zostają skazani na wygnanie — wtedy wyrzekają się zazwyczaj opozycji, przyrzekają poprawę i wracają na dawne stanowiska. Lewą opozycję z Trockim na czele usunięto z Kremlu bezwzględnie. Trocki dziś na wygnaniu jego zwolennicy na Syberji lub na wyspach sołowieckich.

Głową opozycji prawicowej jest Aleksy Iwanowicz Rykow.

Jest to stary doświadczony rewolucjonista, wielokrotnie za czasów caratu więziony i zsyłany drogą administracyjną, który po ucieczce wiele lat czyn nie spędził na emigracji w Niemczech, Anglji, Francji i Szwajcarji. Do Rosji wrócił po rewolucji listopadowej, jako kierownik zaopatrzenia w żywność tak ludności cywilnej, jak armji; położył wielkie zasługi, wykazując wielką uczciwość, w okresie głodowym, choć wysoki dygnitarz nie chciał przyjąć należnej mu wyższej i lepszej racji żywności, cierpiał głód razem z innymi. W partji zażywa wielkiej powagi, to też Stalin wysuwa go na czoło, gdy chodzi o reprezentację. Długi czas był premjerem, nie zdobył się jednak na stosowne wystąpienie przeciw Stalinowi. Obecnie widząc, że znaczenie jego z dnia na dzień spada, rozpił się i przy szklance wódki wygłasza mowy, których nie powstydziłby się żaden rosyjski monarchista. Wypija obecnie takie ilości wódki, że w Rosji dawną wódkę monopolową przemianowano na „Rykówkę".

Drugim wodzem opozycji jest dawny faworyt Stalina Mikołaj Iwanowicz Bucharin, wieloletni redaktor „Prawdy" i członek komitetu centralnego. Bucharin to dogmatyk partji. Doskonały znawca literatury Marksa, myśliciel raczej abstrakcyjny. Każde zamierzenie Sowietów czy to na terenie politycznym, kulturalnym, gospodarczym nawet towarzyskim potrafi Bucharin uzasadnić naukowo z punktu widzenia Marksizmu. Ten właśnie przy miot zjednał mu w swoim czasie życzliwość i łaskę Stalina. Że jednak okazał się nieobliczalnym, chciał zachować samodzielność uczonego i własne zdania, Stalin usunął go, a jego dział pracy powierzył Mołotowi. Odtąd Bucharin starał się naukowo z punktu widzenia Marksa i Lenina obalić zasady stalinizmu i zdemaskować samego dyktatora, dowodząc, że dba tylko o własną władzę. Stalin radzi sobie z nim w wypróbowany sposób.

Oto, gdy kazuistyka Bucharina zaczyna być uciążliwą, zamyka go na pewien czas w domu warjatów. Tam się Bucharin uspokaja i przyrzeka uczynić wszystko, byleby mógł powrócić do swoich książek i badań. Stalin uważa go za idjotę, którym jednak Bucharin nie jest. Bucharin jedyny między rządzącymi bolszewikami — jest znakomitym czcicielem i wybitnym znawcą literatury i sztuki zachodniej, którą się żywo interesuje.

Podobnym jak on znawcą był jeden tylko Lenin.

Niemniej groźnym przeciwnikiem Stalina jest najwyższy dygnitarz sowiecki: oficjalny prezydent państwa, towarzysz Michał Iwanowicz Kalinin. Rykow, Bucharin i inni opozycjoniści są to ludzie kulturalni, posiadają wiedzę, zachowują się z godnością — Kalinina możnaby porównać z owym mużykiem rosyjskim, którego Trocki w Brześciu litewskim podczas rokowań pokojowych, porwał z ulicy i kazał mu siedzieć na posiedzeniach konferencji pokojowej, jako reprezentantowi rosyjskiego ludu. W zamian za tę usługę, ów mużyk otrzymywał nieograniczoną ilość wódki. Kalinin wódki nie pije, sam jest wieśniakiem, ojciec jego jeszcze był poddanym szlacheckiej rodziny Bołtańskich, on sam za młodu lokajem. Później opuścił kraj pracował w fabrykach, wstąpił w szeregi socjalnej demokracji, był wielokrotnie więziony.

Jako prezydent jest bezwolną figurą Stalina. W Rosji nazywają go staroruskim wójtem wiejskim. Podróżuje często po Rosji — rozmawia z chłopami, ale nie posiada ani cienia władzy. Chętnie wysłuchuje skarg, ułaskawia skazanych, choć tych rozkazów nikt nie wykonuje. W pewnem mieście prowincjonalnem, podczas jednego z objazdów, ułaskawił kilku skazanych na śmierć i kazał ich natychmiast z więzienia wypuścić. Urzędnicy nie wiedzieli, jak mają postąpić; zadepeszowali do Stalina — otrzymali krótką odpowiedź: jeżeli będzie jeszcze dużo gadał, wsadzić go do wagonu i odesłać do Moskwy".

Na czerwonym olimpie w Kremlu, mieszka także cierpiący na obłęd generalny prokurator Sowietów Krylenko Bubnow Synowiew, dawno skompromitowany.

Stalin przewyższa wszystkich dotąd wymienionych swoją indywidualnością, energją, bezwzględnym fanatyzmem, zdecydowaną brutalnością, wreszcie odwagą osobistą. Podburza przeciw sobie swych przeciwników wygrywa ich przeciw sobie wzajemnie sztuką godną podziwu zatrzymując całą władzę dla siebie.

Kreml ma i swojego nadwornego poetę jest nim Damjan Biednyj, jedyny poeta rosyjski, prócz Gorkiego, któremu wolno obcować osobiście z bóstwami Kremlu. Nieprawy syn carskiego stryja, pijak nałogowy i pamflecista jest oficjalnym bardem sowieckiego rządu, na którego żądanie pisze wiersze i hymny pochwalne lub polemiczne satyry.

W zamian za to otrzymywał do niedawna nieprawdopodobne wprost honorarjum, 5 rubli od wiersza. Chcąc więcej zarobić począł sobie radzić w ten sposób, że posyłał do redakcji „Prawdy" wycinki wielowierszowe z zagranicznych gazet, krytykujące lub wyśmiewające władze sowieckie, a do takiego artykułu dopisywał kilka wierszy własnych. Płacić sobie jednak kazał za wszystkie wiersze po 5 rubli. Honorarja wynosiły zawrotne sumy. Po wielu wahaniach i trudnościach dotarli redaktorzy do Stalina. Oburzony dyktator kazał natychmiast zawezwać, mieszkającego w pobliżu poetę, zwymyślał go od ostatnich, redaktorom oświadczył, że odtąd honorarjum od wiersza będzie wynosiło tylko 1 rubla. Po odejściu poety oświadczył redaktorom, że mniej mu za własne utwory dać nie można, jest partji potrzebny. bo któż na wypadek wojny będzie pisał płomienne odezwy dla czerwonej armji.

Wymienieni współpracownicy Stalina trzymają się go rękami i nogami, bo wiedzą, że z jego upadkiem i im grozi bezwzględna zagłada. Ogół komunistów rosyjskich wie, że ten legendarny gieorgijczyk Józef Wissarjonowicz Dżugaszwilij Stalin jest ostatnią stawką potęgi sowieckiej. Z jego upadkiem runie cały sztuczny ustrój dzisiejszej komunistycznej Rosji sowieckiej.

Sikorski Stanisław
major w st. spocz.

List z Rzymu

Przeprowadzka wilczycy. — Walter von der Vogelweide w Bolzano. — Wystawa Tycjanowska w Wenecji. — Maj Florencki.

Jedną z osobliwości Wiecznego Miasta są dwie niewielkie klatki, umieszczone w pobliżu schodów kamiennych wiodących od kościoła i placu S. Maria in Aracoeli na Kapitol. W klatkach tych żyją zamknięte: wilczyca i orzeł, dwa wspaniałe okazy, schwytane gdzieś w Abruzzach i przewiezione do Rzymu, — jako symbole starożytnego Rzymu i jego świetności.

Od niepamiętnych przecież czasów uchodziła za palladium Wiecznego Miasta wilczyca, karmiąca Romulusa i Remusa. Bronzową rzeźbę tej wilczycy, — dzieło sztuki etruskiej z VI lub V wieku przed Chrystusem — przechowywano troskliwie w świątyni Jowisza skąd w roku 1471 dostała się na Kapitol, podarowana miastu przez Papieża Sykstusa IV.

Obecnie — od roku 1921 — znajduje się ona w tzw. „Pałacu konserwatorów", zawierającym wspaniałą kolekcję antycznych rzeźb i marmurów.



Bronzowa wilczyca w Palazzo dei ... w Rzymie



Tycjan: Portret Filipa II.

Nawiązując jednak do dawnej tradycji, magistrat miasta uchwalił w roku 1872 wybudować w pobliżu Kapitolu żelazną klatkę i umieścić w niej żywą wilczycę, na przypomnienie legendarnych początków założenia Wiecznego Miasta. Uchwała ta wywołała ostrą, krytyką dzienników opozycyjnych, — tem niemniej jednak weszła w życie. I od tego czasu żywa wilczyca, a następnie i żywy orzeł należą do osobliwości, które każdy turysta uważa sobie za obowiązek obejrzeć.

Obecnie oczekuje je... przeprowadzka. Dostaną obszerniejsze znacznie i wygodniejsze pomieszczenie w dóch grotach, znajdujących sie u stóp skały kapitolińskiej, koło niedawno zbudowanej wspaniałej „Via del Mare". Zyskaja na tem i same zwierzęta, ale zyska też i otoczenie Kapitolu, z którego zniknął dwie brzydkie żelazne klatki, nie harmonizujące zupełnie z całością.

* * *

Niemal równocześnie odbyła się druga podobna „przeprowadzka". Ofiarą jej padł pomnik Waltera von der Vogelweide, umieszczony w Bolzano (niemieckiem Bozen), w Tyrolu.

Pomnik, piękna rzeźba, jest dziełem wiedeńskiego rzeźbiarza, Nattera. Stał na głównym placu miasta, z twarzą zwróconą do południa. Stał tam od roku 1891, odsłonięty z wielką uroczystością, jako pewnego rodzaju symbol imperjalistycznych rojeń i pianów północnych sąsiadów Włoch...

I kłuł w oczy dzisiejszych Włochów, — aż wreszcie Mussolini zadecydował jego usunięcie.

Zniknął z Bolzano niemiecki Minnesänger, Walter von der Vogelweide, zniknął plac jego imienia, zniknęły nawet dawne nazwy przylegających ulic.

Dzisiaj na nowo ochrzczonym placu Wiktora Emanuela III wznosi się pomnik Drususa Klaudjusza Nerona, — z twarzą zwróconą ku północy. A ulice wpadające na ten plac, noszą tabliczki z napisami Via Dante via Carducci, via Roma... Habent sua fata — monumenta!

* * *

Wyjątkową rzeczywiście i wielką atrakcją jest zbiorowa wystawa obrazów Tycjana, urządzona w pałacu Pesaro w Wenecji. Zebrano na niej wszystkie niemal dzieła mistrza, rozrzucone po muzeach i zbiorach prywatnych na całym świecie: w Kopenhadze, Wiedniu, Antwerpji, Madrycie i muzeach włoskich, od Rzymu i Neapolu począwszy.

Dzieła zarówno treści religijnej jak i mitologicznej, — oraz szczególnie wielką ilość mało znanych portretów. Wśród tych ostatnich wyróżnia się portret Filipa II (z muzeum w Neapolu), oraz Fryderyka, elektora saskiego (z muzeum wiedeńskiego).

Bardzo dobrym pomysłem było również zebranie wszystkich obrazów Tycjana, znajdujących się w licznych kościołach weneckich, gdzie z powodu nieodpowiedniego oświetlenia i rozmieszczenia nie można było ocenić należycie ich piękna.

Nie brak na wystawie i ostatniego dzieła wielkiego mistrza, jego „Pieta", którego już nie zdołał wykończyć — a które uzupełnił następnie Palma młodszy.

Po raz drugi już urządza tego roku Florencja swój „Maggio musicale", wielką imprezę artystyczną, zainicjowaną w roku 1933, a mającą się powtarzać co dwa lata. Program ogromnie bogaty: wystawiony zostanie cały szereg oper, jak „Bal maskowy", „Norma", „Uprowadzenie z Seraju", „Alcesta" Glucka. Ta ostatnia odegraną zostanie dnia 1 czerwca w ogrodach pałacu Boboli.



Pomnik Waltera von der Vogelweide po po zdjęciu z cokołu.

Najoryginalniejszem widowiskiem będzie „Savonarola" włoskiego pisarza Rino Alessi, w reżyserji J. Copeau. Wspaniały ten dramat z życia Florencji odegrany zostanie na otwartem powietrzu, na tle historycznego Palazzo Vecchio i słynnej Loggii.

Z innych produkcyj wymienić należy „Requiem" Verdi'ego i „Dziewiątą Symfonję" w wykonaniu wiedeńskiej orkiestry filharmonicznej pod dyrekcją F. Weingartnera.

Przewidziany też jest szereg konferencyj i odczytów z udziałem takich znakomitości jak Pirandello, Chesterton, Bordeaux, Zilahy i inni.

Jednem słowem — „maj muzyczny" we Florencji zapowiada się tego roku wspaniale. K.)

Z dziejów zbójnictwa w Beskidzie Zach.

O Sebastjanie Burym „zbójeckim hetmanie" z 1630 roku

Góry Beskidu Zachodniego porośnięte odwiecznemi borami i lasami były doskonałą siedzibą zbójników, którzy stąd urządzali wyprawy na urodzajne ziemie panów węgierskich, Orawę, Śląsk i daleko w głąb Polski się zapuszczali, bądź też napadali na przejeżdżających prowadzącym tędy na Węgry traktem kupców ciągnących z towarami, czy też bogatszych kmieci, plebanów i karczmarzy.

Jak wielką musiała być plaga zbójnictwa beskidzkiego świadczy niezbicie fakt, że S. Rysiński w swoich przypowieściach polskich z 1619 r. takie zanotował przysłowie. „Bywały, był trzykroć na Beskidzie, a czwarty raz na Krępaku zbijał", a Wacław Potocki w „Nowym Zaciągu" pisze, skarżąc się na rosnące po miastach napady i awantury:

„Lada gnojek wśród miasta pastwi się nad żydem
I tak im miejski rynek stanie się Beskidem".

Ten sam poeta w „lovialitates" pisze:

„Albo to tu Mospanie pod Bieszczadem [1])
Takli się to rozbijać godzi bez sromoty?"

A posiadali zbójnicy beskidzcy bogatą tradycję, sięgającą swemi początkami w ciemne mroki średniowiecza, kiedy to panowie tych okolic Skrzyńscy, a później nawet pani owa osławiona Włodkowa, owi polscy raubritterzy napadali ze swych zamków w Barwałdzie, Żarku i Żywcu. Nawiasem mówiąc wypada wspomnieć, że właśnie tu pod Żywcem na początku XVI. w. omal życia nie postradał napadnięty przez zbójników pierwszy poeta polski Biernat z Lublina.

W ciągu XVII. w. napady zbójnickie w Beskidzie przybierają na sile. Czem to wytłumaczyć?

Pewną rolę musiała tu odegrać gospodarka Mikołaja Komorowskiego, który prowadząc hulaszczy tryb życia, zaciągał wielkie długi, a ludność obarczał ciągle nowemi ciężarami. Część więc ludności zbiegała na Orawę, dając przez to element do polskiego osadnictwa po tamtej stronie Babiej Góry, część zaś wybierała „zbójnicki chodnicek". Potem zaś rozwojowi zbójnictwa w głąb XVII. w. sprzyja fatalne położenie polityczne Polski (wojny kozackie, potop szwedzki, Rakoczy i wojny brandenburskie).

Szlachta i mieszczaństwo okoliczne żyje więc pod grozą ustawicznego niebezpieczeństwa. Zachowane do naszych czasów lauda sejmikowe ziemi oświęcimsko - zatorskiej dają nam namacalny dowód tej grozy i stosunków w podgórskich okolicach i zapoznają ze środkami, jakie szlachta przedsiębrała celem „obrony wewnętrznej". Co roku prawie powtarzają się charakterystyczne dla tych stosunków uchwały sejmiku zmierzające do wytępienia rozbójników plebeiae conditionis w podgórskich wsiach. Szlachta, która w tym smutnym w naszych dziejach okresie tyle podatków ustawicznie na obronę granic Rzeczypospolitej płacić musiała, nie waha się i ochoczo co roku prawie uchwala nowe pobory, które przeznacza na zaciąg karników, przeznaczonych do walki ze zbójnikami.

W niniejszem szkicu ograniczę się jedynie do przedstawienia losów Sebastjana Burego i jgo watahy, działającej około 1630 r.

W tym czasie postrachem okolicy był Sebastjan Bury, „hetman nad zbójcami i towarzystwem swoim, który w żywieckim państwie i indziej grasował, mając kompanję, która z chorągwią za nim chodziła". Pomagał Buremu w opracowywaniu planów zbójeckich wypraw niejaki Dziurdzi, który pochodził z Węgier.

Niedługo jednak miał Bury być postrachem ludności. W roku 1630. w dzień Nawiedzenia Najświętszej Panny Marji, przyszedł Bury z towarzyszami do wsi Milówki, gdzie właśnie w tym dniu proboszcz z Radziechów. ks. Walenty Iwanowski odprawiał Mszę w nowozbudowanym przez królowę Konstancję, żonę Zygmunta III, kościele. Po nabożeństwie podejmował księdza na obiedzie Szymon Szczotka, zamożny kmieć, który właśnie niedawno wyorawszy koło domu koryto ze zbójnickiemi pieniądzmi, dał z nich dzwony ulać do nowego kościoła, za co też jemu i potomkom miano ziemi bezpłatnie dzwonić. Do izby wszedł Bury z dziewięciu towarzyszami, reszcie zaś zbójników pozwolił się zabawić w miejscowej karczmie u Zemana. Bury przywitał księdza i „kazał buczno trunku i jadeł nosić, poczynając jak na bezpiecznem miejscu."

Tymczasem jednak Krzysztof Czarnecki, starosta żywiecki wysłał w pogoń za Burym, który tego dnia rankiem awanturował się w Trzebini i Juszczynie (wsi koło Żywca) 150 mieszczan uzbrojonych. Mieszczanie przyszli do Milówki i niespostrzeżeni otoczyli dom Szczotki.

W ostatniej doplero chwili spostrzegli się zbójnicy. Przez okno wyskoczyli z domu i dostawszy się na szopę, poczęli się gęsto ostrzeliwać. Mieszczanie jednak podpalili szopę.

Po rozpaczliwej i długiej obronie skoro reszta zbójników pijących w karczmie snać przestraszona przewagą mieszczan nie przyszła z pomocą harnasiowi, zdołali mieszczanie pojmać Burego i siedmiu towarzyszy, — reszta uszła z rąk sprawiedliwości.

Teraz jednak mieszczanie, obawiając się, aby „towarzysze zbójeccy" przy pomocy sympatyzującej z niemi ludności nie odbili im tak upragnionego łupu, bali się powracać do Żywca drogą lądową.

Wodą miał tedy płynąć do Żywca po śmierć hetman zbójecki. Na tratwie zbitej z drzewa spławianego Sołą z gór do Oświęcimia do Wisły umieszczono go wespół z towarzyszami i zawieziono do miasta, gdzie zamknięci w lochach zamkowych mieli czekać na straszliwy wyrok.

Zbójnicy zostali skazani na ćwiartowanie żywcem, a Bury jako przywódca według zwyczaju na powieszenie na haku za żebro. Mężnie i „honornie" zachował się harnaś do ostatniej chwili. Gdy go ciągnięto do góry na szubienicę, drwił z kata i pokrzykiwał: „Wio, Bury do góry!" (Słowa te zbójnickiego hetmana stały się źródłem żyjącego w tych okolicach aż do naszych czasów przysłowia). Na haku wisząc musiał patrzeć na straszliwą egzekucję swych siedmiu współtowarzyszy. Nie mógł tego w spokoju przemilczeć i drwiąco zawołał na kata: „Narąbałeś mięsa, jedzże go!"

Długo wisiał Bury jeszcze na haku, nie okazując po sobie bólu i tu mimowolnie przychodzi na myśl śmierć owego legendarnego Janosika tatrzańskiego, co podobnie na haku powieszony „trzy funty tabaku wykurzył" przed śmiercią. Dopiero na prośby księdza asystującego przy straceniu dobito Burego strzałem z muszkietu.

Takim był koniec hetmana zbójeckiego, co z tych okolic pochodził, o czem przekonywująco świadczy samo chociażby nazwisko. Wszak dziś po okolicznych wsiach (Rajcza, Sól, Zwardoń, Rycerki) sporo jest mieszkańców o tem nazwisku.

Mgr. STANISŁAW SZCZOTKA
(Kraków)

[1]) „Beskid, beszkid, bieszczad" w staropolszczyźnie nazwy identyczne.

Galsworthy w zwierciedle korespondencji

Przez trzydzieści lat z górą, od r. 1900 do 1932 korespondował John Galsworthy ze swym przyjacielem Edwardem Garnettem, który po zgonie wielkiego powieściopisarza ogłosił drukiem jego listy. Znajdujemy tu cały szereg przyczynków do poglądów Galsworthy'ego na literaturę i na własną twórczość, a także do poszczególnych momentów tej twórczości. Przytaczam parę przykładów.



Jak wiadomo, osią akcji w „Posesjonacie" pierwszej części trylogji o Forsyte'ach, jest konflikt między postacią tytułową, Soamesem, a żoną Ireną, którą chciałby on traktować, jak własność. Irena kocha młodego architekta Bosinney'a, budującego dom jej mężowi. Sytuacja staje się coraz bardziej naprężona. Irena nabiera nieprzezwyciężonego wstrętu do Soamesa, ten zaś korzysta z przekroczenia kosztorysu przez Bosinney'a i wytacza mu proces. Zakończenie jest tragiczne. Architekt nie jawi się w sądzie w dzień rozprawy. Dowiedziawszy się, że Soames użył wobec żony przemocy, wpadł on w zapamiętanie. Jak szalony pędził w stronę mieszkania Soamesa, ażeby rzucić się na niego, nie zważając na mgłę i ruch uliczny. Zginął pod kołami samochodu. Irena odejdzie od męża — samotna.

Otóż Garnett widocznie był zwolennikiem happy end. Żal mu było Ireny i Bosinney'a i namawiał Galsworthy'ego listownie, ażeby zakończył powieść ich wspólną ucieczką. Warto przypomnieć, że w podobnym wypadku największy powieściopisarz polski dał się ubłagać i na interwencję kilku czytelniczek cofnął wyrok śmierci na Helenę Kurcewiczównę, która pierwotnie miała zabić się, aby nie paść ofiarą Bohuna. Lecz Anglicy są twardzi. Niegdyś Richardson nie darował mimo powszechnych próśb życia shańbionej Klarysie — i Galsworthy poszedł za tym przykładem. Odpowiedział przyjacielowi kategorycznem „nie". Forsyte'owie (t. j. przedstawiciele wyższej klasy średniej i własności) muszą zwyciężyć. Inaczej „Posesjonat" stałby się „jeszcze jedną powieścią z rodzaju k y n e d o n" (romansów pornograficznych).

Podczas pisania „Patrycjusza" Garnett zarzucił autorowi, że przedstawia życie arystokracji, którego nie zna. Na to Galsworthy odpowiedział mu wyliczeniem stu trzydziestu nazwisk swoich znajomych z tej sfery.

Jakkolwiek trzy trylogje, rozpoczęte „Posesjonatem" przedstawiają przemiany, jakie przechodziło życie angielskie od końca ósmego dziesiątka zeszłego wieku prawie do daty zgonu autora (1933) i bardzo często uważano te utwory za rodzaj dziejów społeczeństwa w rodzaju H i s t o i r e C o n t e m p o r a i n e Anatola France'a Galsworthy sprzeciwiał się, aby określano go jako historyka społeczeństwa, zaznaczając, że jest artystą i niczem więcej.

Na jego technikę opowiadania rzuca światło następujące zdanie: „W belletrystyce nie istnieje nic takiego, jak psychologja. Istnieje tylko wrażenie na umysł czytelnika." Tej zasadzie powieściopisarz był wierny. Jego metodę możnaby nazwać impresjonistyczną — i tu zresztą zapewne tajemnica jego powodzenia.

Do korespondencji Garnett dodał szkic, w którym stara się scharakteryzować zmarłego przyjaciela. Bardzo trafna jest uwaga, że w Galsworthy'm było dwóch ludzi — człowiek należący do wyższej klasy społecznej i mimo sympatji do biedaków — mający silne poczucie tej przynależności, oraz liryk i buntownik, skłonny do litości i wzruszeń.

WŁADYSŁAW TARNAWSKI

Koń, odwieczny przyjaciel człowieka

Jak tylko daleko sięgniemy w mroki prahistorji, zejdziemy w groty skalne człowieka pierwotnego, wgłębimy się w najstarsze pomniki jego kultury, — zobaczymy przy boku jego konia, jako najwierniejszego towarzysza. Wszędzie koń dzieli trudy człowieka, towarzyszy mu w dniach chwały i upadku, dzieli jego radości i smutku. Jednocześnie z pojawieniem się śladów człowieka w Europie, w okresie kamiennym spotykamy wizerunki koni, utrwalone przez artyzm pierwotnego człowieka.

Badane warstwy geologiczne zdradzają nam, że koń został udomowiony na 8—6 tysięcy lat przed Chrystusem. W Egipcie konie pojawiają się jako płaskorzeźby i rysunki na 2.000 lat przed Chrystusem. W Chinach wozy i konie znane są na 2,800 lat przed Chrystusem. Pismo św. opisując zaranie ludzkości też wspomina o koniu. Jabel potomek Kaina ma liczne stada źrebiąt i koni. Król Egiptu sadza Józefa na swym rydwanie ciągnionym końmi, i nakazuje, ażeby lud uginał przed nim kolana. Na wozie jedzie Józef, by spotkać ojca; braci obdarza wozami i końmi, oraz nakazuje wydawanie strawy dla ich koni, wołów i osłów.

Najdawniejsze legendy greckie wspominają również o koniu. Neptun trójzębem uderzywszy w ziemię stwarza rumaka, zaco odtąd ofiarowywano mu konie, topiąc je w morzu lub w jeziorach.

Również w Iljadzie i w Odyssei najświetniejsi wojownicy i najwięksi królowie, jak Agamemnon, Achilles, Nestor, Priam i t. d. osobiście konie swe opatrują. Priam w swym pałacu karmi konie, któremi wyrusza, aby domagać się u Achillesa o ciało swojego syna — ma on jeszcze liczne stada, które są powierzone staraniom jego dzieci. Konie Achillesa, Xanthus i Balins pomimo, że były nieśmiertelnemi, tak, że nic ich ani ranić, ani zniszczyć nie mogło, interesującym są przedmiotem wzorowej pana pieczołowitości, a rozum ich i uczucia tak są za to do ludzkich zbliżone, że nieraz — tak jak Acton koń bojowy Pallasa za jego postępujący zwłokami — łzy litości i żalu wylewają. Andromacha wprzód dogląda koni Hektora, nim o nim samym pomyśli. Nausicaa umie sama swe konie zaprzęgać i sama niemi ze zręcznością powozi w mieście i nad brzegami rzeki, kiedy Ulissesa spotyka. Homer nie waha się w Iliadzie podnieść konie, które nieraz spiżo - nogiemi (Chalkopod-hippos) zowie, na równi z bohaterami do wysokości swojego hymnu, kiedy wykrzykuje: „Muzo! powiedz mi, kto był najdzielniejszym, czy to z ludzi, czy z rumaków".

Wzruszająca jest opowieść o Bucefale koniu Aleksandra Wielkiego. Bohaterski ten rumak godny jest swego wielkiego pana. Aleksander nieraz zawdzięcza mu życie. W walce pod Tebami Bucefał dokazuje cudów waleczności i przezorności. Wreszcie nad Hydaspem w walce przeciw Porusowi jazda nieprzyjacielska nieprzejrzaną masą otacza Aleksandra. Wierny Bucefał śmiertelnie ranny ostatkiem sił unosi z pola walki wielkiego króla, by paść u jego stóp i skonać. Aleksander wyprawia swemu Bucefalowi okazałą pogrzebową stypę i stawia nad brzegami Hydaspu drogiemu towarzyszowi sławy, grobowiec, u stóp którego zakłada kamień węgielny grodu zwanego Alexandrja Bucefalos, który dziś nosi miano Lahory.

Upadek Imperium Rzymskiego, wędrówki narodów w 5. i 6. wieku pogrążają Europę w mrokach barbarzyństwa. Życie kulturalne cofa się, a powrotna fala barbarzyństwa zalewa Europę. Oczywiście ma to decydujący wpływ na stan hodowli. W wirze walk i chaosu powszechnego przepada bez śladu cały dorobek hodowlany kultury starożytnej. W wiekach średnich powoli hodowla konia zaczyna się dźwigać z upadku.

Walki z Maurami wysuwają na widownię niezrównanego konia Wschodu. Zetknięcie się dwóch zupełnie odmiennych cywilizacji ma również wpływ na hodowlę konia. Ciężki koń flamandzki krzyżowany z lotnym arabem, daje w wyniku sławnego dzianeta hiszpańskiego, który łączy w sobie szybkość konia wschodniego z masywnością konia flamandzkiego. Jeżeli będziemy dalej śledzić bieg historji, to zauważymy, że kształtowanie się hodowli konia ściśle związane było z rozwojem kultury i postępu. Tak jak formy życia ulegają ciągłej zmianie, tak i hodowla konia zmieniała się tworząc coraz to nowe rasy, odpowiadające nowym warunkom. Chów koni ciężkich traci rację bytu z wynalezieniem broni palnej. Romantyczne turnieje rycerskie przemieniają się powoli w wesołe zabawy, połączone z popisami jazdy. Następuje nawrót do konia lekkiego.

Wiek XVIII zaznacza się ogromnym rozgłosem nowej rasy, powstałej w Anglji. Koń angielski staje się modny w całej Europie. W 19 w. po wojnach napoleońskich rozwój dróg, miast i zróżnicowanie życia tworzy nowe rasy koni roboczych pośpiesznych i powolnych, oraz nowe typy koni pod siodło. Początki XX wieku charakteryzują się hodowlą, opartą na czysto naukowych podstawach. Cały wysiłek człowieka skierowany jest ku temu, by wytworzyć możliwie najdoskonalszego konia.

W Polsce hodowla przebiegała nieco odmiennej. Może niema na świecie kraju, gdzieby, zwyczaje przysłowia, uroczystości były tak ściśle związane z kultem konia, jak w Polsce. Jak mityczny centaur, szlachcic polski nie rozstaje się z koniem, dzieli z nim wszystkie trudy, troski i radości. Na tem tle widzimy pogrzeb Stefana Czarnieckiego, który na łożu śmierci żegna się ze swym ukochanym wierzchowcem. Obraz ten wżera się w naszą pamięć i staje się symbolem przyjaźni człowieka z koniem — wielkiego Polaka z wiernym towarzyszem. Karty historji odkryją nam wiele takich postaci. Bezkresne stepy Wschodu tętnią pod kopytami wspaniałych stadnin Sanguszków, Dzieduszyckich, Rzewuskich, Czartoryskich i innych przednich rodów polskich. Szlachta polska, rubaszna, hulaszcza i krnąbrna, ale kocha się w koniach bez opamiętania. Zjazdy, wesela, kuligi, przyjęcia posłów, turnieje, to rewje wspaniałych koni kapiących złotem. Nikną fortuny magnackie, a powiększają się stada koni coraz to wspanialszych i droższych.

Ówczesną szlachtę polską najlepiej charakteryzuje postać Emira Rzewuskiego, któremu Mickiewicz poświęca „Farysa" — „Wacław Rzewuski, syn hetmana Seweryna, jednego z twórców konfederacji targowickiej, natura bujna, rycerska, ale przytem dziwnie niespokojna, o wybujałej fantazji, lubującej się w chorobliwej pogoni za wrażeniami niezwykłemi; jakimś wewnętrznym niepokojem czy bólem trawiony, wyrywał się Rzewuski z dusznej atmosfery rodzinnego, narodowego i wogóle europejskiego środowiska w bezkresne pustynie Arabji, rozmiłowany we wszystkiem co wschodnie, aż do fanatyzmu i śmieszności. Niepospolity znawca języków i obyczajów plemion arabskich, znakomity jeździec i entuzjastyczny wielbiciel koni, za któremi zapędza się w najgłębsze zakątki półwyspu arabskiego opiewany przez trzynaście szczepów beduińskich, którego emirem złotobrodym zwały, pisarz wreszcie, uczony, badacz i poeta. Fantastyczne jego przygody, zwane przez szlachtę popularnie „awanturami arabskiemi" z czasów jego pobytu w Arabji (od r. 1817—1820), opowiadane i opisywane przez niego i jego otoczenie stworzyły zeń postać szczególnej ponętną dla wyobraźni poetów, karmiących się modną poezją egzotycznego Wschodu, od Mickiewicza przez Pola, Słowackiego, Padurrę, Komarnickiego, Budzyńskiego, Podlewskiego — aż do Romanowskiego". (Prof. Jan Bystrzycki).

Niewola, wojna światowa, rewolucja bolszewicka zniszczyły doszczętnie cały nasz dorobek hodowlany.

„Dzień konia" niech obudzi w społeczeństwie dawną miłość naszych przodków do konia.

WŁADYSŁAW MøLLER, Kraków.

Sowiety a strefa arktyczna

Przed laty 300 odkrył angielski żeglarz w strefie arktycznej wyspę, którą od siebie nazwał Wyspą Gillisa. Obecnie nikt nie może jej odszukać. Sowiety postanowiły spróbować szczęścia i obecnie w Archangielsku przygotowuje się do podróży łamacz lodów Sedow, który będzie zaopatrzony we wszelkie zapasy na dwa lata. Droga poprowadzi przez Murmań, Przylądek północny, Wyspę Niedźwiedzią, Spitzberg, Kraj Franciszka Józefa i Wyspy Wrangla.

Wogóle Sowiety wykazują wielką ruchliwość w strefie arktycznej, przeznaczając znaczne sumy na zbadanie różnych jej okolic. Spodziewają się odkryć źródła mineralne i inne bogactwa przyrodnicze. Razem będzie na wodach podbiegunowych krążyć 75 statków bolszewickich. Niektóre z nich będą usiłowały dotrzeć poza 83 stop. szerokości geograficznej, co jeszcze nie udało się żadnemu okrętowi. Inne będą badały przestrzeń między 81 stop. a 82 stop., gdzie dotychczas były tylko Fram Nansena i Sedów — oba zresztą utknęły na dłuższy czas w lodach.

Zagłada starej dzielnicy

Ze względów higjenicznych postanowiono zburzyć starą dzielnicę paryską Maubert. Jest to labirynt ciasnych uliczek, nieraz o szerokości niewiele większej nad 1 metr, zaułków i ciemnych zakamarków. Podobno niewiele zmieniło się tu od XII w.

Niegdyś mieściła się tu Sorbona i dzielnicę wsławił pobyt wielu sławnych ludzi. Przy ulicy Fouarre słuchał wykładów Dante, który później zadziwił paryskich doktorów, odpowiadając płynnie i trafnie na kilkadziesiąt pytań, jakie mu kolejno stawiali. Później mieszkał tu Erazm z Roterdamu.

Ale Maubert ma w swej przeszłości i inne epizody. Do jego mieszkańców należał słynny poeta-złodziej Franciszek Villon i hulał po bliskich szynkowniach. Jedna z nich, położona w pobliżu ulicy St. Severin, jest to piwnica, zwana kuchnią złodziejską. Funkcjonuje do dziś dnia i słynie z tego, że śpiewają tam stare pieśni.

Niedaleko stąd rozpoczyna się stary rzymski gościniec do Orleanu i miejsce oznaczone jest kamieniem milowym.

Tylko parę budowli ma być oszczędzonych jako historyczne pamiątki. Między nimi są kościół św. Juljana Biedaka (**St. Julien le Pauvre**) i szynkownia **St. Julien dans la barque** z szyldem, który uchodzi za najstarszy w Paryżu.

Cenny dokument z XIV wieku

W wydawanym przez Archidiecezję lwowską obrządku ormiańskiego dwumiesięczniku „Gregoriana" (zeszyt 1—2) zamieścił dyrektor Archiwum m. Lwowa, dr. Aleksander Czołowski, ciekawe informacje o cennym zabytku, jaki w ubiegłym roku dostał się do zbiorów archiwalnych miasta.

Korzystając z uprzejmości Autora przedrukowujemy ten artykuł, którego treść zainteresuje niewątpliwie nietylko samych historyków.

REDAKCJA

Zbiory Archiwum m. Lwowa powiększył w roku ub. zabytek, cenny zarówno dla miasta, jak i dla polskich Ormian.

Jest nim oryginalny, pergaminowy dyplom, wydany we Lwowie, w wigilję bł. Agnieszki (20 stycznia) 1367 roku przez króla, Kazimierza Wielkiego pierwszemu biskupowi ormiańskiemu, Grzegorzowi, któremu pozwalał założyć tu biskupią siedzibę i zabezpieczał mu wolność wiary według obrzędów ormiańskich. Pochodzi zatem ten dyplom z okresu, w którym Kazimierz Wielki założywszy na nowo Lwów, zwany w tym czasie, pod wpływem kolonizacji niemieckiej, także Lamburgą lub Lemburgiem, zjeżdżał często do niego, organizował go, zaludniał, uposażał i obdarzał hojnie przywilejami, słowem kładł podwalinę pod przyszły rozwój i znaczenie czerwonoruskiej stolicy.

Drogą pamiątką po tej działalności ostatniego z Piastów jest dyplom, o którym mowa.

Tekst tegoż, przetłumaczony na polskie, opiewa:

„My Kazimierz z Bożej łaski Król Polski, podajemy do wiadomości wszystkim, którym należy, że mając na względzie dowody prawości pana Grzegorza, biskupa Ormian i jego praworządne zabiegi, co, za świadectwem wielu wiarygodnych, zaleca go Nam, dajemy i udzielamy temuż panu Grzegorzowi pełne i wszechstronne uprawnienie do założenia w mieście naszem Lamburdze osobistej siedziby, zachowania i pozostania w swojem prawie i wierze i posługiwania się niemi według przepisów i obrzędów Ormian, zabraniając wszystkim i poszczególnym starostom, burgrabiom i innym urzędnikom w Królestwie naszem ustanowionym, aby wbrew aktowi naszej darowizny i szczodrobliwości, nie stawiali wspomnianemu panu Grzegorzowi przeszków w wymienionych sprawach, lecz raczej przychodzili mu z pomocą pod utratą naszej łaski. Postanawiamy również, że gdyby wspomniany pan Grzegorz opuścił wymienione nasze miasto Lamburg, pismo niniejsze, stwierdzone naszego majestatu pieczęcią, nie ma mieć żadnego znaczenia. Dan w Lamburdze w wigilję błog. Agnieszki dziewicy (20 stycznia) Roku Pańskiego 1367".

Sam dyplom, szer. 30,5 cm., wys. 16,5 cm., pisany czytelnie, zachował się w dobrym stanie. Co więcej zachował nawet częściowo, znaną, piękną, majestatyczną pieczęć Kazimierza Wielkiego, wyciśniętą na białym wosku i wiszącą na czerwono - żółtym, jedwabnym sznurku. Przedstawia ona króla na tronie z berłem i jabłkiem w ręku, na tle zasłony podtrzymywanej przez dwóch aniołków. U nóg, w odcinku trójkątnym, herb ziemi kujawskiej. W otoku resztki napisu.

Zapiski umieszczone na stronie zewnętrznej dyplomu, świadczą, że w r. 1641 był on przedkładany Kancelarji wielk. kor., w roku zaś 1731 został wpisany do księgi aktowej nacji ormiańskiej m. Lwowa. Zachowały się nadto ślady dwu, zatartych ormiańskich zapisek, określających treść dyplomu.

Istnienie jego nie było tajemnicą. Znał go już w XVIII. w. ks. Adam Naruszewicz z zatwierdzenia króla Władysława IV, zachowanego w Metryce kor. i podał z niego wyjątki w swojej „Historji Narodu Polskiego", Warszawa 1803, tom VI, noty, str. 186 ale niedokładnie i błędnie. Nie ulega wątpliwości, że oryginał przechowywał się przez wieki we Lwowie w Archiwum katedry ormiańskiej. Miał go w ręku w r. 1842 ks. Fr. Zacharyasiewicz, opisał nawet krótko i przytoczył z niego cytat w swojej pracy: „Wiadomości o Ormianach w Polszcze", Lwów 1842, str. 19. Nie widział go już widocznie X. Sadok Barącz, bo w swoich „Żywotach Sławnych Ormian", Lwów 1856, str. 133 cytuje go z Naruszewicza, wspomina natomiast, że król Władysław Jagiełło zatwierdził go w r. 1388.

Opierając się na tem, za pewnik przyjąć można, że w połowie XIX w. oryginał Kazimierzowskiego dyplomu zaginął bez śladu, ale nie przepadł na zawsze. W roku ub. znalazł się przypadkowo w posiadaniu skromnego obywatela lwowskiego, który kupiwszy na tandecie stare biurko, odkrył w niem skrytkę, a w niej ów dyplom. Gdy mi go przyniósł, bez wahania nabyłem go do zbiorów archiwalnych miasta. Habent sua fata documenta!

Z opisanego faktu domyślać się można, że owo biurko należało kiedyś do jednego z księży kapituły ormiańskiej i po jego śmierci przeszło w obce ręce razem z zapomnianym dyplomem. Tą drogą zaginął on i szczęśliwie odnalazł się znowu.

Reżyser filmowy

wśród afrykańskich murzynów

Przedstawiciel redakcji Observera odbył niedawno wywiad z Zoltanem Korda, znanym londyńskim reżyserem filmowym, na temat jego pobytu pośród afrykańskich szczepów murzyńskich. Celem było zebranie materjałów do filmu Sanders of The River. Ale drobna jedynie część zdjęć, przywiezionych z Afryki, została tu zużytkowana, a ponieważ wywiad odbywał się w wytwórni, polegał on na wyświetlaniu owych niezużytkowanych jeszcze obrazów w miarę opowiadania. Przed oczyma reportera przesuwały się tańce wojenne z Kongo, zabawa szczepu Acholi, „taniec hien" z Ugandy, w którym występują dwaj czarownicy, ze skórami hien na głowach, z maskami, których największy efekt stanowią wyszczerzone zęby krowie, z magicznemi rzeźbionemi laskami w rękach. Wszystkiemu zaś towarzyszyły pieśni i okrzyki, utrwalone dla dźwiękowca.

Najdłużej przebywał Korda u szczepu Acholi. Początkowo natrafił na trudności. Murzyni bali się aparatu, podejrzewając, że to jest karabin maszynowy i w pewnej chwili nagle sypnie na nich kulami. Lecz pomysłowy reżyser namówił ich, aby zajrzeli, a zobaczą tam siebie samych, tylko głowami na dół. Ciekawość zwyciężyła, a owo odwrócone odbicie dzicy uznali za potężne czary.

Korda obiecał im następnie, że jeżeli zastosują się do jego próśb, dostaną małe pudełeczka zaczarowane, które będą mogli przekazać dzieciom, aby te mogły słyszeć ich pieśni, gdy ich samych już nie będzie na świecie.

Ze śpiewem były wielkie kłopoty. Gdy minęła pierwsza nieufność, zapanowało embarras de richesse. Zbiegło się półtora tysiąca krajowców i podzielili się na grupy, z których każda śpiewała własne pieśni — i to równocześnie. Żadna nie chciała drugiej ustąpić pierwszeństwa. Przez trzy dni z rzędu powtarzał się zamęt i piekielny hałas, zanim reżyserowi udało się namówić murzynów do kolejnego śpiewu.

Dalsza trudność polegała na tem, że nie mógł on skłonić ich do wykonywania tych pieśni, które już słyszał, i które były mu potrzebne. Poszczególne wsi, nawet poszczególni ludzie mają swoje własne melodje i słowa, a odśpiewać cudzą pieśń uchodzi u nich za rodzaj kradzieży.

Nie można też było porozumieć się, czego Korda sobie życzy. Nucił melodje, ale murzyni nie orjentowali się zupełnie. Ostatecznie pokonał i tę przeszkodę.

Murzyni często improwizują na znaną melodję, ale powstałe tym sposobem słowa są bardzo proste. Tak np. przodownik chóru śpiewa: „O co za szczęśliwy dzień" Inni odpowiadają mu: „Tak, te słusznie." To znów dziewczęta śpiewają: „Pewien mężczyzna kazał nam pójść na pagórek, ale nie pójdziemy", a płeć brzydka odpowiada „Tak to słusznie", Inna pieśń brzmi: „Wielki biały wódz to bardzo dobry człowiek. Daje nam szylingi. — Tak, to słusznie".

Najciekawszym może szczegółem wywiadu była informacja, że na cześć Kordy nazwano dziewczynkę, urodzoną za jego pobytu Picture Cinema (Kino). Aby nie być gołosłownym, reżyser zarządził, co potrzeba, i na ekranie ukazało się sześciotygodniowe dziecko na rękach matki, której cały strój stanowił wązki pas ze zwitkiem trawy będący u szczepu Acholi odznaką prawowitego, zaszczytnego macierzyństwa. Dookoła odbywała się uroczystość. Tańczyły dziewczęta bez zwitków trawy, tańczyli dwaj czarownicy, a dokoła stali czarni mężczyzni, pomalowani z wyraźną tendencją naśladowania europejskiego stroju, wybijali takt nogami i uderzali w bębny, odpowiadając na śpiew dziewcząt sakramentalnym refrenem: „Tak, to słusznie, tak to słusznie." A. E

Zagłada Mauretanji

Sir George Hunter, dziewięćdziesięcioletni właściciel wielkich warsztatów okrętowych w Tyne, słynnem z tego przemysłu, powiedział o Mauretanji: „Spełniła swoją służbę". On to blisko dwadzieścia dziewięć lat temu kierował spuszczaniem jej na wodę. Sławny okręt usłyszał wyrok śmierci.

Służba Mauretanji rozpoczęła się w r. 1907. Jej „siostra" Luzytanja przyszła na świat o dwa miesiące wcześniej i była najszybszym okrętem istniejącym — nawiasem mówiąc, odebrała rekord Ameryce, oddając go zpowrotem W. Brytanji. Mauretanja wkrótce zwyciężyła mniej szczęśliwą siostrę i przez lat 20, do roku 1929 dzierżyła pierwszeństwo. Wtedy dopiero uległa innemu statkowi zbudowanemu umyślnie dla zdobycia rekordu szybkości. Rozstrzygnęło udoskonalenie motoru turbinowego.

Gdy wybuchła wojna światowa, Mauretanja została zmobilizowana. Wyposażono ją w urządzenia szpitalne. Komendę objął Sir. Artur Rostron. Zabierał za każdym razem z półwyspu Gallipoli do Souhampton 2000 tysiące rannych i chorych. Prócz załogi było na pokładzie 70 sióstr miłosierdzia, 36 lekarzy i medyków, oraz 120 sanitarjuszów.

Gdy rozpoczęła się bezwzględna wojna przy pomocy łodzi podwodnych, Niemcy storpedowali Luzytanję i odgrażali się jej siostrze. Pozbawiona urządzeń wojskowych, przez dwa lata blisko nie pokazywała się na pełnem morzu. Dopiero z początkiem 1918 r. admiralicja brytyjska zaopatrzyła ją w sześć ciężkich dział i zaczęła jej używać do transportu wojsk amerykańskich. Do końca wojny przewiozła ich 35 tysięcy. Podczas każdej podróży dawała pomieszczenie 5200 żołnierzom i oficerom, oraz 50 osobom urzędowym, a załoga jej wynosiła ok. tysiąca ludzi.

Zdemobilizowany z końcem roku, okręt odwoził wracających żołnierzy do Stanów Zjednoczonych i Kanady, a w maju 1919 wrócił do swej regularnej służby w Cunard Line, kursując z Southampton przez Cherbourg do N. Yorku i wracając tą samą drogą, czasem wyjątkowo przez Plymouth. Bez względu na pogodę przebywała swoich przeszło 500 mil angielskich, przybywając na miejsce przeznaczenia prawie z punktualnością pociągu.

Obecnie Mauretanja oczekuje w Southampton swego losu. Kosztowała niegdyś 3 miljony funtów, dziś sprzedano ją za 80 tysięcy. Firma z Rosyth, zajmująca się rozbieraniem okrętów, spodziewa się zrobić na tym bardzo dobry interes. Przemysł ten rozwinął się bardzo w ostatnich latach dzięki praktyce powojennej. W Rosyth rozebrano „Lwa", sławny okręt admiralski Beatty'ego, i innych, na którym ten urzyjał niemieckich admirałów. gdy przyszli ułożyć się o kapitulację swej floty po bitwie pod Jutlandją.

Obecnie około 95 proc. materjału, z którego okręt jest zrobiony, użytkuje się nanowo. Stal wszystka, przetopiona, dostaje się do odlewni, tartaków i fabryk wyrobów żelaznych. Znaczna jej część idzie na budowę okrętów. Wszystko wraca zwykle tymczasowo do Sheffield, skąd pochodzi. Inne metale mają również znaczną wartość.

Poważną rubrykę stanowi urządzenie. Znaczna część boazerji Mauretanji będzie użyta na olbrzymiej Królowej Marji.

Duży dochód przyniosą również i pamiątki. Tysiące i tysiące dawnych pasażerów Mauretanji zgłaszają się po kawałki drzewa czy metalu lub wyrobione z nich drobne przedmioty.

Rozbieranie okrętu odbywa się kolejno w dwóch dokach. Zaczyna się od pomostu i kominów, potem przychodzą kotły i maszyny popędowe. Dalsza praca możliwa jest już tylko w doku wewnętrznym, do którego woda dochodzi w większej ilości podczas przypływu — i wtedy tylko można do niego wprowadzić statek. Dno tego doku jest pochyłe. W miarę, jak rozbiera się ściany okrętu, reszta posuwa się coraz głębiej. Są w użyciu narzędzia takie, jak młoty, dłuta, piłki, ale wiele ręcznej pracy oszczędzają rury acetylenowe, roztapiające nity...

Sic transit gloria mundi. A.E.

Małopolskie „tła" w żydowskiej powieści

Nakładem „Księgarni Nowości" we Lwowie wyszła świeżo książka, napisana przez niejakiego Emila Tenenbauma, pod tytułem „Tła"...

Nie wartoby się nią zajmować, bo niepodobna doszukać się w niej jakiejkolwiek wartości literackiej, — nie mówiąc już o ohydnym wręcz stylu. Z tysięcy innych wystarczy zacytować dwa klasyczne zwroty:

„monotonny szczęk nożyc razi szesnastoletniego Ptaszka i wszystko co się wiąże z zakładem fryzjerskim"... „Umieścił browning do futerału..

Nie wspominam już o interpunkcji, poprostu śmiesznej, świadczącej o kompletnej ignorancji autora.

Książka jednak jest tak charakterystycznym dokumentem psychiki żydowskiej, że trzeba jej parę słów poświęcić.

* * *

Jest to jeden wielki paszkwil na wszystkich i wszystko, co nie żydowskie. Że zaś akcja tej „powieści" toczy się w Małopolsce wschodniej, zatem ofiarą nienawiści autora padają w pierwszym rzędzie Polacy, następnie Rusini, a częściowo i „Ukraińcy" z okresu Petlury.

W społeczeństwie polskiem niema jednego typu dodatniego, czy to będzie magnat, czy ksiądz, czy urzędnik, starosta, prezes Sokoła, lub naczelnik urzędu podatkowego.

Magnaterja kupuje pokryjomu od Żyda dolary, a sprzedaje mu zboże. Robi interesy nawet na... pustelniku „będącym doskonałą atrakcją dla kuracjuszy".

Inteligencja i mieszczanie propagują hasła antysemickie, ale utrzymują zażyłe stosunki przyjacielskie i handlowe z Żydami, biorą od nich łapówki, protegują ich na dobre stanowiska i posady.

Jednem słowem — ogólna zgnilizna moralna. A sieją ją właśnie i wyłącznie Żydzi, — w guście takiego Gerszona Gebeta, osobistego przyjaciela prezesa Sokoła i naczelnika Urzędu podatkowego. Tenci Gerszon jest... dzierżawcą dóbr parafjalnych, właścicielem głównej trafiki, członkiem Zarządu gminy, członkiem miejsc. Rady szkolnej.

* * *

Jakże autor zapatruje się na ów antysemityzm, o którym uświadomiły go artykuły Nowaczyńskiego w „Rzeczypospolitej"?

Oddajmy mu głos:

„...„Krzyczycie, że Ukraińcy są antysemitami? A Polacy? Jak was traktują? Czarne oczy rudego Grudera smutno się śmieją, zamaczyły, że Żydom nie idzie o to, aby im dobrze było, uznają instytucję z dwojga złego... Jeden wagon piwa kosztuje... prowizja wynosi... a panowie antysemici niechaj zdrowo piją piwo kałuskie...

* * *

Dostaje się też i Rusinom i „Ukraińcom", do czego znakomita sposobność daje autorowi opis „pogromu" w małem, granicznem miasteczku.

Ale pan Tenenbaum lubi przy jednym ogniu upiec dwie smakowite pieczenie. Znajdujemy tedy w powieści sylwetkę niejakiego Łeśka Stadnika, syna parocha:

„Ów Łeśko Stadnik na wojnie z Polakami osiągnął stopień komendanta oddziału służby wywiadowczej. On spowodował rozstrzelanie kpt. Lisowskiego, polskiego szpiega. Po wojnie wrócił do ojca, władze polskie pozwoliły na noszenie egzotycznego munduru.

Za kilka lat Łeśko Stadnik pojedzie do Krakowa... zapomni o wojnie z Polakami i Aleksander Stadnicki w cztery lata po wojnie będzie reprezentował na zjazdach zagranicznych narodową młodzież polską. Będzie reprezentował godnie i przyznają mu to sprawozdawcy polskich pism narodowych...

Natomiast Żyd, syn adwokata w Sokołowie, Resport...

„po wojnie zostanie profesorem uniwersytetu w Warszawie, przedtem wypisze się z izraelickiej gminy wyznaniowej, a w jakiś czas potem przyjmie chrzest.

* * *

Malują „tła", nie mógł oczywiście nie potrącić ów Tenenbaum o zagadnienia religijne i polityczne.

Do religji chrześcijańskiej i duchowieństwa ustosunkowuje się nieiyle wrogo, co raczej drwiąco, z wyraźnem lekceważeniem. Świątobliwy pustelnik o gołębiem sercu, — to „atrakcja dla turystów", a więc czysty interes. Księża nie mogą się obejść bez Żyda kupca, pachciarza, nawet lekarza.

Szames z bóżnicy opowiada o „cudach", streszczających się w sprzedawaniu ciemnemu chłopstwu obrazów świętych polskich i ruskich...

A już wręcz łajdackim jest opis wizerunku Matki Boskiej Łaskawej, strzegący Żyda Izaaka Stocka i domowników przed pogromcami...

W polityce jest Tenenbaum równie szczerym. Stwierdza bez ogródek, że **„Izraela już dawno niema, a pozostali synowie są wszyscy kuzynami Lejby albo Lwa Trockiego.**

Pozwala sobie nawet na taki passus:

„Obok grobu Nieznanego Żołnierza stoi warta... Obok gmachu giełdy stoi warta... Obok szpitali warjatów stoi warta...

* * *

Cóż jeszcze dodać? Że książka roi się od chamskich wyrażeń, budzących obrzydzenie? Niestety — ostatnie lata przyzwyczajają już nas do podobnej rynsztokowej „literatury", a pan Tenenbaum korzysta skwapliwie z okazji, by popisać się swą erudycją, choć na tem polu!...

Nie w tem jednak zło leży. Idzie o całą atmosferę tej książki, atmosferę, przesiąkniętą taką zgnilizną moralną, taką nieukrywaną, zimną nienawiścią do wszystkiego co nie jest żydowskiem. Książka Tenenbauma daje nam poznać duszę żydowską, zupełnie obnażoną, wyzbytą wszelkich kłamstw i upiększeń.

A obraz to naprawdę przerażający!

(kr.).

Muzyka w radjo

Temat to tak obszerny, nastręczający tyle sposobności do dyskusji, że możnaby o nim pisać całe tomy. A zdaje mi się też, że jest to temat rzeczywiście najczęściej poruszany. I nic dziwnego: tu właśnie znajduje w pełni zastosowanie maksyma „quot capita tot census", — czyli jeszcze się ten nie urodził, coby wszystkim dogodził.

Jeżeli dziś tematem tym się zajmuję, to czynię to w związku z projektami Wydziału Muzycznego P. R. na sezon letni.

W projektach tych jest parę rzeczy, zasługujących na podkreślenie.

A więc przedewszystkiem: propaganda pieśni polskich, — myśl bardzo na czasie! Bo naprawdę, zwłaszcza młode pokolenie, karmione „Rebeką", czy innemi podobnemi „szlagierami", prawie nic zupełnie nie wie o naszej, przepięknej polskiej pieśni, o Niewiadomskim, Gallu, Karłowiczu, Żeleńskim, — nie mówiąc już np. o Troszlu, Zarzyckim czy Moniuszce.

Przypomnienie tych pieśni, spopularyzowanie ich będzie prawdziwą, wielką zasługą Polskiego Radja. I może pierwszem hasłem do odwrotu od panoszącej się dziś pustki — zarówno treściowej jak melodyjnej — jednodniowych efemeryd z kabaretów czy filmów dźwiękowych.

* * *

Kwestja muzyki symfonicznej i kameralnej nasuwa już pewne zastrzeżenia i uwagi. Nie ulega wątpliwości, że koncert symfoniczny nie jest audycją, zdolną zainteresować naprawdę szerokie koła radjosłuchaczy. Kto nie ma odpowiedniego przygotowania, pewnej kultury muzycznej, na tego nawet symfonja Bethovena nie zrobi żadnego wrażenia. Napróżno będzie się w niej doszukiwał piękna czy „melodyjności".

Z tem trzeba się liczyć, jako z „malum necessarium". I z tem musi się walczyć. Ale nie atakiem szturmowym, lecz powolną, cierpliwą, a wytrwałą walką „podjazdową". Pamiętać o tem, że ten radjosłuchacz ani sam nie gra, ani nie ma możności chodzenia na koncerty (zresztą tylko w dużych miastach i rzadko urządzane). Że pozatem tysiące radjosłuchaczy posługuje się tylko detektorem i słuchawkami, bez głośnika.

Czyż w tych warunkach można się dziwić, jeśli jeden i drugi radjosłuchacz po 20—30 minutach odłoży słuchawki, zniecierpliwiony i... zdegustowany? Ma już dość „tego dobrego", tej muzyki, niewątpliwie przepięknej, ale dla niego niezrozumiałej. Jest poprostu fizycznie zmęczony i wyczerpany.

Z tych względów, sądzę, byłoby racjonalniej ograniczyć podobne audycje do najwyżej 30 minut, wybierając z odnośnych utworów tylko ustępy najpiękniejsze, najłatwiej zrozumiałe, — natomiast zwiększyć odpowiednio ich ilość w miesiącu.

* * *

Pewnych wyjaśnień domaga się sprawa „koncertów symfonicznych udramatyzowanych", tj. z podkładem słowa mówionego, opartego na tematach malarskich i literackich, — przyczem tematów tych ma dostarczać „przedewszystkiem przyroda".

Sformułowanie tak niejasne i zagadkowe, że niepodobna się zorjentować co do treści i formy podobnych koncertów.

Przypuszczalnie tego rodzaju audycja obejmować będzie jakąś kompozycję muzyczną, uzupełnioną krótkiem objaśnieniem, kiedy, gdzie i w jakich okolicznościach utwór ten powstał. Byłoby to rzeczą pożądaną. Ale co to może mieć wspólnego właśnie z „przyrodą"? — trudno zgadnąć.

A znów zdaje się, że podobne założenie mają też i tzw. „audycje komponowane", nowość, mająca być wprowadzoną w sezonie letnim.

* * *

Wreszcie — dział operowy. Pomijam Warszawę i Poznań, jedyne dziś miasta w Polsce, mające stałą operę. Ostatecznie i Kraków i Stanisławów mogą pochlubić się jakąś namiastką opery.

Pozatem — nic więcej! Szczególnie boleśnie odczuwa brak opery Lwów, miasto chyba najmuzykalniejsze w całej Polsce, miasto, które dało Polsce cały szereg najwybitniejszych, sławnych śpiewaków. Dziś we Lwowie cicho i głucho: opera zabita na długie lata, a w operetkę bawi się dyrekcja teatru, przefasonowując artystów dramatycznych na śpiewaków i tancerzy...

Lwów tęskni za operą, — taksamo jak tęsknią za operą lwowską sąsiednie, bliższe i dalsze miasta.

I tutaj Radjo przychodzi z pomocą coprawda bardzo niedostateczną. Opera bowiem ma to do siebie, że na całość odpowiedniego wrażenia składają się w równej mierze elementy słuchowe (głos, muzyka), jak i wizualne (wystawa, inscenizacja, kostjumy, akcja, gra artystów).

Te ostatnie w radjo w całości odpadają. Zostaje tylko muzyka i głos. A jeżeli do tego śpiew rozlega się w języku obcym, niezrozumiałym dla większości słuchaczy (audycje z „La Scala", z Wiednia, z Rzymu), — wówczas ten „szary człowiek" o przeciętnej zaledwie kulturze muzycznej, nie odnosi z podobnej audycji niemal żadnego pożytku. Nie odejdzie od głośnika, gdy zapowiedziany jest występ np. Kiepury. Zatrzyma go wówczas poprostu... snobizm, nic innego!

Wysłucha może jakiej popularnej arji z „Aidy" czy „Madame Butterfly", ale potem zamknie głośnik, znudzony. I temu dziwić się nie można: nie rozumie tekstu, nie zna artystów, nie widzi ich.

Dlatego wartoby się poważnie nad tem zastanowić, czy wskazanem i celowem jest transmitowanie całych oper ze scen zagranicznych, choćby tak sławnych jak medjolańska „Scala"?

Czy nie lepiej byłoby skoncentrować całą uwagę na opery polskich kompozytorów oraz na opery obce, w wykonaniu artystów wyłącznie polskich?

Może dyrekcja P. R. zorganizuje na ten temat rodzaj plebiscytu wśród swych radjosłuchaczy na prowincji? Wynik takiego plebiscytu byłby bardzo ciekawy.

(Lucy)

Historja swastyki

Wiadomo, że znak swastyki posiadał u ludów pierwotnych znaczenie symbolu religijnego. Ale symbolem politycznym stał się dopiero po wojnie.

W „Heroldzie jugosłowiańskim" ukazał się na ten temat artykuł, oparty przedewszystkiem na informacjach zaczerpniętych od dra Stojana Lanicia, byłego członka Sekretarjatu Ligi Narodów. Ma on do dziś dnia flagę, której używała w latach 1920 — 1922 komisja Ligi, urzędująca w Wilnie, szczególnie przy przekraczaniu granicy demarkacyjnej między terytorjum polskiem a litewskiem. Na fladze widnieje czerwona swastyka w białem okrągłem polu na tle niebieskiem. Unja Ligi Narodów w Londynie urządza niezadługo wystawę przedmiotów związanych z działalnością Ligi i zwróciła się do dra Lanicia o wypożyczenie flagi.

Niezależnie od Ligi Narodów pojawiła się swastyka prawie równocześnie u narodowych socjalistów w Austrji. Ruch ten wywodzi się od wszechniemieckiego, którego wodzem był w r. 1880 Schönerer. Kontynuacją tej organizacji była założona w r. 1909 przez dra Waltera Riehla na terenie Austrji. Niemiecka Partja Robotnicza, która później przybrała nazwę Narodowo-robotniczej socjalistycznej niemieckiej partji robotniczej. Naisilniej rozwinęła się ona pośród Niemców czeskich i morawskich.

Po wojnie podzieliła się ona na oddział austrjacki i czechosłowacki, później przybył oddział założony przez Antoniego Drexlera w Monachjum dla Rzeszy. Działały one w ścisłem porozumieniu i dr. Riehl był sekretarzem wspólnego komitetu wykonawczego.

Na liście członków monachijskich widniało jako siódme z rzędu nazwisko: Adolf Hitler. Gdy zebrania odbywały się na terenie Austrji, Hitler reprezentował zwykle Rzeszę.

Pierwotnem godłem partji był liść dębowy z młotem. Na posiedzenie kierowników oddziałów austrjackich w lutym 1920 r. dr. Riehl przygotował wniosek, ażeby zamiast tego przyjąć swastykę, jako pierwotny symbol ludów germańskich. Zgodzono się i podczas demonstracji I maja tegoż roku ukazały się poraz pierwszy sztandary ze swastyką. Narodowi socjaliści nieśli je również podczas wycieczki, jaką urządzili do ruin w Dürenstein.

W sierpniu 1920 odbywał się wiec partji w dawnym gmachu namiestnictwa w Salzburgu i tu Hitler oznajmił, że odtąd swastyka będzie oficjalnem godłem narodowych socjalistów.

J. S.

Portrety cezarów zdobią restaurację

W 1. połowie II w. po Chr. cesarz Hadrjan polecił swemu nadwornemu rzeźbiarzowi sporządzić podobizny wszystkich swoich poprzedników. Cztery z tych rzeźb kupiła przed 40 laty bajecznie bogata markiza Casati od rządu włoskiego. Przedstawiają one Juljusza Cezara, Witeljusza, Wespazjana i Tytusa, a pochodzą z pałacu cesarzy rzymskich na Palatynie, gdzie prowadzono wówczas prace archeologiczne i odkopano wiele nieocenionych pamiątek.

Długo zdobiły pałac Casati w Rzymie, później zaś Palais de Rose w Wersalu, kupiony przez markizę od hrabiego de Montesqiou. Otaczała się ona bajecznym zbytkiem. Kucyki jest stały w marmurowej stajni..

Lecz przyszedł zmierzch olbrzymiej fortuny. Podobizny cezarów poszły na skład do paryskiego handlu sztuki. Zięć markizy Casati, wicehrabia Hastings postarał się o ozdobienia ścian nowej restauracji na Trafalgar Square freskami, przedstawiającemi uczty rzymskie. Część stylowej dekoracji stanowią podobizny cesarzy, powstałe za Hadrjana.

ŚWIAT KOBIECY

Ploteczki o modzie

— Natura stroi się w bukiety kwiecia. Moda wiosenno - letnia idzie w jej ślady. Pełno kwiatów wszędzie: całe bukiety lub pojedyncze kwiaty rzucane na jasne czy ciemne tło materjałów letnich. Kwiaty na kapeluszach kwiaty w butonierce kostjumu, kwiaty przy pasku i przy dekolcie. W butonierce najczęściej kwiat z białej piki.

— Ostatnią nowością na tem polu są kwiaty aplikowane na materjałach imprimé. Mianowicie wycina się z materjału dwa lub trzy identyczne kwiaty i naszywa się je, jeden na drugim, — co daje bardzo ładny plastyczny efekt.

— Moda inicjałów święci tryumfy. Widnieją one na torebkach, bluzkach, szalikach, paskach, chusteczkach, broszkach, — zrobione z metalu złota, srebra, galalitu, drzewa lub skóry.

— Crêpe gaufré cieszy się obecnie wielkiem powodzeniem.

— Praktyczną inowacją są żaboty plastrony i kołnierzyki z delikatnej białej skórki glacé. Wyglądają zawsze ładnie i czysto, dają się bawiem z łatwością oczyścić benzyną lub eterem.

— Dla amatorek bridża pojawiły się guziki, na których są do wyboru wszystkie cztery kolory kart. Rodzaj „znaków szczególnych", po których łatwo się będzie można wzajemnie poznawać...

— Obok kwiatów, — dużo materjałów w groszki większe lub mniejsze, w jednym, a nierzadko i w kilku różnych kolorach.

— Suknie wieczorowe mają spódniczki szerokie poczynając od bioder, a więc marszczone, plisowane lub fałdowane. Są zupełnie długie, — ale bez trenu! Linja bioder znacznie słabiej zaakcentowana.

Najmodniejszym materjałem na nie jest jeszcze ciągle tafta gładka, w jednym kolorze, lub w desenie, kwiaty, groszki. Obok tego crêpe - satin, tiul i miękka „faille".

— Do sukni, na plecach silnie wyciętej, niezbędną jest pelerynka, najlepiej futrzana.

— Rękawy u sukien letnich często króciutkie, bufiaste, jak przy sukienkach dziecięcych.

Nowości w kapeluszach

Rubrykę tę możnaby właściwie prowadzić stale co tygodnia, tyle pojawia się ustawicznie nowych fasonów, dostosowanych do każdej twarzy, każdej sylwetki. Toczki, berety, tyrolskie, bretonki, kaplinki, wreszcie owe „aerodynamiczne", o których niedawno pisaliśmy.

Ronda małe lub większe, podniesione lub spuszczone z boku, z przodu, z tyłu zawsze krótsze lub podwinięte, aby nie zakrywać fryzury.

Przybranie wstążkami atłasowemi lub aksamitnemi, dużo klipsów, klamer i kwiatów. Natomiast pióra zniknęły prawie zupełnie.



Pojawiają się już kapelusze letnie słonkowe, których dwa najnowsze modele dziś podajemy. Jeden, to typowy letni kapelusz z egzotycznej słomki nie barwionej, bardzo „twarzowy" dla młodych kobiet.



Drugi, z czarnej słomki, przybrany białemi krążkami z piki, gęsto naszywanemi.



Wreszcie podajemy model eleganckiego toczka z błyszczącej czarnej słomki z dużą kokardą z tyłu i z czarną krótką woalką.



Pełna wiosennego wdzięku choć skromna sukienka z tak modnego dziś materjału „imprimé"

Z kongresu kobiet w Stambule

W międzynarodowym kongresie kobiet, odbytym niedawno w Stambule, uchwalono między innemi rezolucję przeciw szerzeniu w świecie ducha wojennego.

Delegatki wypowiedziały się również za zawarciem międzynarodowej konkurencji, uprawniającej kobiety do zachowania swej przynależności państwowej po zawarciu ślubu z cudzoziemcem. Wreszcie uchwalono zasady, na których opiera się praca Związku równouprawarciem międzynarodowej konkurencji, uprawność polityczna, moralna, gospodarcza i legalna kobiet i mężczyzn.

Znowu „Dzień Matki"!

Wyznaczony on został na dzień 26 maja br., a wstępne prace zostały podjęte przez Komisję główną Kół młodzieży Polskiego Czerwonego Krzyża.

Czy to naprawdę potrzebne? Czy młodzież polska potrzebuje podobnych specjalnych obchodów dla zademonstrowania swej miłości i przywiązania dla matki? Kosztowna to, bądźcobądź impreza, a zdaniem ogółu zupełnie zbyteczna.

Nie stawiajmy matek w jednym szeregu z „dniami" lasu czy morza, — nie róbmy poprostu przedstawień z tej najserdeczniejszej, najszlachetniejszej miłości do matki, której żadne obchody, akademja czy poranki nie są potrzebne. Niechaj zostaną one „monopolem" innych....

Moda, elegancja i praktyczność

Niewiele jest kobiet, które mogą stosować się do wszystkich wymagań i kaprysów mody, — przy dzisiejszym, skromnym budżecie domowym.

Każda z nas jednak pragnie być zawsze ubraną, choć skromnie, ale elegancko i modnie. Więc kiedy już decydujemy się na sprawienie czegoś nowego, — trzeba się dobrze zastanowić nad wyborem, licząc się nietylko z przykazaniami mody, ale i zewzględami praktycznemi.

Dlatego najpraktyczniejszem wyjściem będzie zawsze skromny kostjum w spokojnym, nie rażącym kolorze. Kostjum taki odda nam nieocenione usługi przez cały sezon wiosenny i letni, — zawsze jednako będzie elegancki i jednako modny.

Najodpowiedniejszym materjałem na niego będzie lekka, angielska flanelka. Daje się łatwo czyścić, nie mnie się i zawsze wygląda jak nowa.

Z kolorów przedewszystkiem popielaty, odpowiedni dla każdego wieku. Do tego skromna bluzeczka granatowa, ewentualnie z takąż krawatką.

Kapelusik popielaty lub granatowy, w tym samym kolorze rękawiczki i torebka, — wreszcie popielate pończochy i buciki. Całość naprawdę szykowna, a nie wpadająca w oczy.

W kostjumie takim można się pokazać i popołudniu, w cukierni czy kawiarni, zmieniając ewentualnie bluzkę na strojniejszą, z linon, crêpe de chine lub koronką.

Miłem ożywieniem takiego kostjumu będzie jakiś purpurowy kwiatek w butonierce.

A kto nie lubi koloru popielatego, — niechaj wybierze granatowy, będący faworytem obecnego sezonu.

Rękawiczki

Moda wiosenna i na tem polu przynosi duże zmiany. Zniknęły niemal zupełnie rękawiczki z wysokiemi i szerokiemi mankietami; dziś prawdziwie eleganckie rękawiczki odznaczają się prostotą kroju i formy.

Do kostjumów tailleur — rękawiczki krótkie, bez mankietów, w kolorach spokojnych, nie jaskrawych, a więc: beige, popielate, bronzowe, ciemnoniebieskie i czarne. Materjał: chevreau, antylopa, pecari, ircha. Nowością przy nich są klipsy drewniane lub metalowe zamiast guzików. Często też zapinane są na grzbiecie ręki.

Do sukien strojnych — rękawiczki z tafty czarnej lub granatowej, ściśle przylegające. Manszety długie, gęsto marszczone lub ułożone we fałdy.

Na uroczyste przyjęcia — białe rękawiczki glacé.

Z materjałów — poza skórą — najwięcej stosowaną była tafta i organdi, przerabiane z elastycznemi nićmi „lastex". Tafty przeważnie jednobarwne, czasami też w szkocką kratkę, co jednak nie zawsze jest polecenia godne. Ręka bowiem w takiej rękawiczce wydaje się zawsze nieco większa.

Zbierajmy zioła

Flora nasza obfituje w liczne gatunki ziół leczniczych. Znaleźć je można niemal na każdym kroku: w ogrodzie, w lesie, na łąkach i polach. Zamało jednak zwracamy na nie uwagi, zapominając o ich wielkiej wartości leczniczej dla organizmu.

Nie zastąpią zioła same — w razie poważnej choroby — lekarza i leków, temniemniej oddają nam duże przysługi w rozmaitych drobnych dolegliwościach. Toteż rozsądna i przewidująca pani domu nie zapomni o odpowiedniem zaopatrzeniu swej „apteczki domowej", idąc pod tym względem za przykładem naszych babek i prababek.

W maju zbierać należy: całe rośliny macierzanki, bratka polnego, babki, — dalej kwiaty i liście podbiału, oraz krwawnika, kwiaty bzu czarnego, wreszcie szałwię, liście dmuchawca, piołunu i mięty pieprzowej.

Czytelniczki interesujące się uprawą, zbieraniem i suszeniem ziół mogą otrzymać potrzebne informacje i wskazówki w Polskim Komitecie Zielarskim, Warszawa, ul. Długa 16.

—o—

Poradnik dla gosposi

SZPINAK ZE ŚMIETANĄ

Poobierane z szypułek liście szpinaku opłókać czysto, rzucić do gotującej się osolonej wody, zagotować przez pięć minut, odcedzić i kilkakrotnie przelać zimną wodą. Tym sposobem zatrzymuje szpinak ładny zielony kolor. Gdy dobrze z wody ocieknie, posiekać go, przefasować przez sito i włożyć do rondla, w którym zasmażyć na biało łyżkę masła z łyżką mąki i i rozprowadzić pół szklanką słodkiej śmietanki, poddusić jeszcze parę minut i podać z jajami sadzonemi na maśle.

PIECZEŃ WOŁOWA ZE ŚMIETANĄ

2 funty mięsa wołowego, pół funta w plasterki pokrajanej wędzonki, pół funta posiekanej wędzonki, jeden garnuszek w plasterki pokrajanej cebuli, soli i pieprzu do smaku, dwa bobkowe listki, jedną łyżkę octu i jeden garnuszek kwaśnej śmietany.

Mięso pokrajać na kawałki średniej wielkości i naszpikować wędzonką krajaną w plasterki. Osobno podsmażyć cebulę i wędzonkę siekaną, dodając do tego mięso. Posolić i popieprzyć do smaku, przykryć i dusić. Gdy sos się wygotuje, dodać trochę octu, bobkowy listek i troszkę wody. Później wyjąć, dodać kwaśnej śmietany i zagotować jeszcze razem z mięsem.

LAIT DE BEAUTE! Sporządzić je można z łatwością w sposób następujący: 250 gr. gliceryny, 235 gr. wody różanej i 15 gr. tynktury benzoesowej.